Nr. 14. Lwów, Niedziela dnia 4. Kwietnia 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

XIV.

Lwowskie Towarzystwo przyjaciół Sztuk pięknych.

I. Od lat kilku mamy we Lwowie Towarzystwo przyjaciół Sztuk pięknych. Kiedy myśl założenia takiego Towarzystwa powstała była w naszem mieście, z wielu stron dały się słyszeć głosy, że obok Towarzystwa krakowskiego, drugie we Lwowie jest zbyteczne, ponieważ współzawodnictwem zaszkodzi tamtemu, a samo na trwałych nie stanie podstawach. Zwolennicy zaś projektu utrzymywali, że miasto liczące 100.000 mieszkańców i będące stolicą sześciomiljonowej prowincji, powinno mieć Towarzystwo odrębne, sztuka bowiem polska liczne dziś wydaje owoce, a publiczność do niedawna jeszcze tak obojętna, coraz więcej zajmować się nią zaczyna. Po długich sporach utworzyło się nareszcie odrębne Towarzystwo we Lwowie.

Gdyby nas zapytano, czy stało się źle czy dobrze, musielibyśmy odpowiedzieć, że lepiej stać się nie mogło. Ilekroć nadarzy nam się sposobność stworzenia nowego ogniska dla literatury lub sztuki, powinniśmy usilnie pracować nad szybkiem jego urzeczywistnieniem. Jak szkół nie może być nigdy za wiele, tak nie może być za wiele Towarzystw krzewiących wzniosłe prace ducha. Jeżeli Francja, Anglja, Niemcy i Włochy mają po kilkadziesiąt Tow. Sztuk pięknych, to dla czegoż Polska nie powinnaby ich więcej posiadać jak dwa, jedno w Warszawie, a drugie w Krakowie? Czy dla tego może, że sztuka polska staje się dziś bogatszą aniżeli każdego z wymienionych powyżej narodów?

Kilkoletnie doświadczenie nauczyło, że odrębne Towarzystwo we Lwowie miało rację bytu; krakowskiemu wcale nie zaszkodziło, a samo zdołało się utrzymać. Przy tej sposobności nasuwa się atoli inne pytanie: mianowicie, czy spełnia ono w zupełności swoje zadanie, czy działa tak, jakby działać powinno, krótko mówiąc, czy jest prawdziwie pożytecznem.

Na to musimy odpowiedzieć przecząco.

Chociaż Towarzystwo lwowskie jest młode, bardzo nawet młode, jednakowoż nie rusza się, prawie nie żyje. Gdyby nie coroczna wystawa, kraj niczby o niem nie wiedział. Pochodzi to ztąd, że nie tylko publiczności, ale nawet artystów nie potrafiło zainteresować. Każdy malarz woli wysłać swoją pracę na wystawę krakowską lub warszawską, jak na lwowską, a Tow. nasze nie umiało zmusić artystów, aby Lwowa nie pomijali. Przebiegając w pamięci wszystkie wystawy, przychodzimy do smutnego przekonania, że pierwsze dwie były jeszcze najlepsze; każda z następnych coraz słabsza, a jeżeli dłużej tak potrwa, to wystawy we Lwowie chyba całkiem ustaną. Ilekroć nie widzieliśmy lepszego płótna Matejki, wystawa nasza była parodją wystawy, a przecież prócz Matejki, mamy już w Polsce do czterdziestu celniejszych artystów. Znają ich Kraków i Warszawa, zna ich wreszcie zagranica, tylko Lwów jeden nie miał ich szczęścia poznać.

Walne zgromadzenia członków Tow. z największą trudnością przychodzą do skutku, są bowiem zawsze tak jałowe i nieprodukcyjne, że nikt w nich nie chce brać udziału. Na ostatniem np. z r. 1874 przewodniczący upewnił, że Wydział Tow. zrobił, co zrobić był powinien, poczem wybrano nowy Wydział i wszystko na tem się skończyło. Nie zapytano nawet, czy który z obecnych członków nie ma przypadkiem jakiego projektu,—Wydział od siebie nie wniósł żadnego — nie przyszło więc do żadnej dyskusji, a całe zebranie było podobne do ciała, które się porusza, nie wiedząc dla czego, i robi, samo nie wiedząc co.

Jest więc źle, ale powinno być lepiej. W następnym artykule wykażemy w czem leży złe i jak mu zaradzić.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

III.

(Ciąg dalszy.)

Żyd przestraszył się tą ceną, czy też udał, że się przestraszył i chciał odejść. Dylski bał się, by na serjo nie odszedł i choć wcale nie podał wygórowanej sumy, bo skomplikowana i trudna robota sekretarzyków wymagała dużo czasu i pracy, jednak dla tego, że potrzebował teraz pieniędzy bardziej niż kiedy, obniżył cenę, jak tylko mógł. Żyd mimo to jeszcze targował się, żyłował, wyciągał i urywał. Dylski nie chciał już więcej ustąpić, bo wtedy zarobek byłby stratą prawie; ale gdy żyd wyciągnął duży czerwony pugilares nabity banknotami i przyrzekł z góry zapłacić, jeżeli Dylski zgodzi się na sumę przez niego podaną, — na widok pieniędzy, które w tej chwili tyle znaczyły dla niego, zmiękł i przystał na liche warunki Mendla. Ugoda została spisana i żyd wyjął z pugilaresu sto guldenowy banknot, przeglądnął go do światła i oddał z pewną ostentacją Dylskiemu.

W czasie, gdy tenże pożerając chciwym wzrokiem wnętrze żydowskiego pugilaresu pełne banknotów, brał w rękę storeńskówkę, nagle blask oświecił stancję i równocześnie dał się słyszeć krzyk Dylskiej: pali się! ogień! Żyd i Dylski obrócili się i ujrzeli palącą się dużym płomieniem muszlinową suknię Maryni. Przechodząc ze świecą Marynia zapaliła ją przypadkiem. Płomień ogarnął szybko muszliny i mógł rozszerzyć się dalej. Dylska i córka straciły przytomność. Dylski pobiegł po konewkę z wodą do sieni, a żyd tymczasem wraz z Józefem zajęli się odkładaniem na bok drobiazgów, któreby się mogły łatwo zająć od ognia. Zbierano rzeczy z łóżka, parawanu, ze ściany i rzu-

cano bezładnie na stół. Ogień wnet ugaszono; był on więcej nagły i przerażający chwilową objętością, niż niebezpieczny. Konewka wody wystarczyła na zupełne ugaszenie płomienia, i nic się więcej nie spaliło prócz sukienki muszlinowej. Spłonęła jak motyl bez śladu prawie a z nią razem marzenia dziewczyny przygotowane wraz z suknią na jutrzejszą niedzielę. Nie miała jednak czasu smucić się utratą sukienki i marzeń, bo Dylski, który już i tak był rozdrażniony poprzednio źle zakończonym targiem z żydem, począł ją ostro łajać za nieostrożność.

— Chcesz z dymem puścić jeszcze tę odrobinę gratów. Mamy i tak bardzo wiele do stracenia.

A gdy Marynia z przekąsem odmruknęła mu, że jeżeli zrobiła szkodę to tylko sobie, wpadł w taki gniew, że aż Mendel uspokajać go musiał.

—Dajcie pokój, panie Dilski, szkoda siebie nie wróci, na co się zda psuć sobie krew i gniewać się na takie ładne panienki.

Mówiąc to łypnął pożądliwym wzrokiem na zadąsaną dziewczynę.

— Jej szkoda, jej szkoda, powtarzał zirytowany Dylski — a gdyby tak był się cały dom spalił, to ciekawym ktoby był za to odpowiadał. A wszystko przez te łachy, gałganki, których wszędzie pełno. Jak się zgniewam, to het powyrzucam na śmiecie te stroje.

— No, cóż to dziwnego panie Dilski, co młoda panienka sobie stroi; das ist ganz natürlich.

— Wam nic do tego — ofuknął opryskliwie Dylski — interes zrobiony, nie mamy co z sobą gadać. Com się zgodził, to zrobię na termin, a teraz nie macie tu więcej nic do roboty.

Powstrzymany w tak niegrzeczny sposób w swoim adwokackim zapale, żyd umilkł zkonfundowany i nie zabawiwszy długo wyniósł się z mieszkania. Dylski czas jakiś siedział przy stole robiąc obrachunek zamówionej roboty. Rachunek ten nie dobrze wypadł, po bliższem zbadaniu pokazało się, że robota nie opłaci się, że będzie musiał na nią tracić dużo czasu, za który nie dostanie odpowiedniego wynagrodzenia. To go drażniło. Skrobał się co chwila po głowie i klął półgłosem, zły i niekontent z siebie. Oddać jednak pieniędzy nie mógł, bo jutro trzeba było czynsz zapłacić, by gospodarz nie wyrzucił go z mieszkania; były jeszcze inne pilniejsze wydatki, których nie miał czem opędzić. Żyd nie mógł szczęśliwiej trafić. Zostawiona przez niego stówka uwiodła Dylskiego do czynu, którego żałował. Chwilami rozmyślał nad tem, w jaki sposób mógłby się wykręcić od niewygodnego zobowiązania, zrobić zawód żydowi; ale kontrakt, który Mendel miał w rękach, krępował go. Niedotrzymanie kontraktu narażałoby go na proces i areszt, a na to nie mógł się rezykować za tak małą sumę.

Podczas kiedy Dylski zajęty był temi myślami, rodzina jego udała się już na spoczynek; Józef poszedł do ciemnego pokoiku, gdzie było jego łóżko, a Marynia i matka spały już mocno. Tylko Dylski czuwał, niepokój i napływ myśli spać mu nie dawały. Jan także musiał nie spać, bo od czasu do czasu krzątanie słyszeć się dawało w jego pokoju.

Zegary wybiły jedenastą. Dylski wstał by iść spać do warstatu, i zbierał ze stołu rysunki zostawione przez Mendla. Naraz zadrżał. Podnosząc jeden arkusz przywalony drobiazgami Maryni zobaczył czerwony pugilares Mendla. W pierwszej chwili zadrżał, jakby zobaczył jakie złowrogie widmo i nogi pod nim się ugięły; ale wnet oprzytomniał, pochwycił szybko pugilares, jakby się chciał przekonać, czy to nie złudzenie, otworzył go i zajrzał do środka. Pliki banknotów rozpychały boki pugilaresu. Dylski wyjął jedną i począł rachować. Były to same banknoty tysiąc guldenowe, wyjmował je i oddzielał drżącemi rękami. Narachował ich już pięć a jeszcze parę miętosił w ręce. To go odurzyło, w oczach poczęło mu się ćmić, musiał usiąść, by nie upaść, a krople potu wystąpiły mu na rozognione czoło. W pugilaresie były jeszcze inne banknoty na sto i na pięćdziesiąt i na dziesięć guldenów. Dylski chwytał je wszystkie, miął w palcach, i znowu puszczał, nie wiedząc sam co robi. Widok tylu pieniędzy pomięszał mu zmysły.

Lekki szmer za drzwiami wstrząsnął nim całym, zakrył pieniądze sobą i stanął w postawie obronnej, patrząc niespokojnie na drzwi. Szmer nie powtórzył się, było to tylko złudzenie. Gdy trwoga przeszła, Dylski spojrzał na stronę, gdzie spała żona i córka, chcąc się przekonać, czy śpią, czy go nie podpatrywały. Dla lepszego przekonania się wziął lampę i podszedł ku nim zaglądając w oczy. Spały mocno. Ani blask lampy, ani nawet ciche wołanie na nich po imieniu nie obudziło ich.

Uspokojony wrócił do stołu, usiadł i już trzeźwiej począł rozmyślać nad całem wydarzeniem. Niewątpliwie był to pugilares Mendla, wbił mu się dobrze w pamięć w chwili, gdy Mendel płacił mu za robotę. Prawdopodobnie podczas nagłego pożaru żyd musiał zapomnieć go na stole, zakryto go potem rzeczami, które ratowano od ognia i w ten sposób został tutaj. To było jasne. Ale co dalej? Nie było wątpliwości, że Mendel spostrzeże wnet swoją zgubę, że nie zadługo powróci po nią. Co wtedy? Oddać czy nie oddać? Tu rozpoczęła się walka w myślach Dylskiego, której wypadek był niewątpliwym. Uczciwość i skrupuły sumienia odegrały w tej walce krótką i bardzo podrzędną rolę; wnet je odsunął na bok, bo nie mógł pogodzić się z tą myślą, by miał dobrowolnie zrzec sie tych pieniędzy, które los mu podsunął w tej chwili. Stanęło mu w myśli jego przykre położenie, los dzieci, który teraz mógłby tak świetnie zapewnić. Przyszłość swoją i całej rodziny trzymał teraz w swych rękach, od niego zależało uszczęśliwić ją i podnieść. Wahać się nie widział powodu. Sposób, w jaki te pieniądze dostawały się w jego posiadanie mało go obchodził; uważał to za szczęśliwy wypadek, który odrzucać byłoby szaleństwem. Na usprawiedliwienie swoje przypominał sobie wszystkie upokorzenia, jakich doznawał od Mendla, krzywdy, jakich doznawał od niego, obrachowywał zyski, jakie miał żyd przy jego robocie, za którą tak nędznie płacił, i uważał te pieniądze, jako wynagrodzenie, które los mu dawał.

— To się mnie należało. To moje — powtarzał kładąc ręce na pieniądzach, jak na swojej własności. O oddaniu nie było już mowy, nie namyślał się już nad tem. Szło mu teraz tylko o to, jak i gdzie ukryje te pieniądze, w jaki sposób wyprzeć się przed Mendlem. Te myśli rozsadzały mu głowę; na opalonem czole żyły wystąpiły jak powrozy od natężenia. Gdzie ukryć te pieniądze? Wszędzie wydawało mu się niepewnem. Na namysł jednak nie było dużo czasu, Mendel w każdej chwili mógł wrócić.

Dylski zgarnął pieniądze, schował do pugilaresu i wysunął się ostrożnie do sieni. Cicho zeszedł po schodach, by ktoś z mieszkańców nie słyszał jego kroków i wszedł do warstatu. Czeladnik i chłopcy spali w pierwszej izbie. Dylski przesunął się koło nich na palcach i wszedł do warstatu. Przy świetle latarni, które z ulicy padało przez okna, przesunął się między różnemi sprzętami i stanąwszy namyślał się, gdzie schować pieniądze. Oczy jego niespokojnie biegały po różnych przedmiotach szukając kryjówki na skarb niebezpieczny. Umyślał pochować go w różnych miejscach, w razie odkrycia jednej części zostawała mu reszta. Nie obliczył, że w ten sposób łatwiejby szukający mogli trafić na ślad; działał bowiem pod wpływem odurzenia. Wyjął z pugilaresu banknoty i zaczął je wtykać w rozmaite kryjówki, to pod heble, to za szafę, pod nogi od stołów. Wnet jednak pomiarkował się, że to najgorszy sposób i począł znowu zbierać, wyjmować ze schowek pieniądze do pugilaresu. Warstat wydawał mu się niebezpieczną kryjówką. Lepiej byłoby ukryć na dworze, w razie odkrycia nie narażało go to na odpowiedzialność. Bał się jednak wychodzić przez izbę czeladną, by nie pomiarkowano czego; otworzył więc okno i wyskoczył na podwórze. Tu przystanął na chwilę nadsłuchując czy nie ma kogo w pobliżu. Było cicho zupełnie. Przesunął się koło muru do dołu, w który składano popiół i tu chciał wrzucić pugilares. Ale dół był głęboki, popiół wybrany, chcąc ukryć pugilares trzeba było wejść do dołu i zasypać umyślnie. Slady nóg mogły by go zdradzić. Porzucił więc i ten zamiar, i poszedł do kloaki. Wspiął się na palcach i macał szukając odpowiedniej kryjówki. Za jednym słupkiem było dobre schowanie; Dylski wcisnął tam pugilares, obmacał rękami z jednej i z drugiej strony, czy nie wystercza i przekonał się, że słupek był za cienki i nie zasłaniał dostatecznie pugilaresu. Znowu trzeba było inne miejsce wymyśleć.

W tem w sieni zabrzęczał dzwonek szarpnięty gwałtownie ręką. Niewątpliwie był to Mendel, nie było czasu do namysłu; Dylski zostawił pugilares za słupkiem nie mając w tej chwili lepszego schowania, zeskoczył na ziemię i szybko pobiegł ku schodom. Chciał, aby Mendel zastał go na górze, w stancji, w której go zostawił. Zmylał w ten sposób ślad i usuwał podejrzenie, że wychodził. Ostrożnie wsunął się napowrót do mieszkania, w którem jeszcze paliła się lampa i usiadł przy stole udając zajętego

rachunkami. Silił się na spokój, choć serce biło mu gwałtownie i muskuły drgały nerwowo. Oczy utopił w rachunkach; ale słuch wytężył, że najlżejszy szmer łowił uchem.

Nie za długo dało się słyszeć na schodach szybkie stąpanie i za chwilę wszedł Mendel wystraszony, blady i zmieniony.

Dylski udał zdziwienie i odezwał się podnosząc oczy:

— A to co?

— Nic, nic, panie Dilski; przypadek, zaraz się pan dowiesz.

I nie siląc się na dalsze tłumaczenie poskoczył szybko do stołu i począł niespokojnie przewracać leżące na nim rzeczy.

— Co się stało? Czyś pan zwarjował, o tej godzinie, co panu jest?

Żyd nic nie odpowiadał, tylko szukał dalej. Każdy kawałek leżący na stole brał po kilka razy drżącemi rękami, oglądał, wytrząsał, odkładał i brał znowu. Zdawało się, że oczy wyskoczą mu z głowy, oddech jego był krótki, zadyszany.

— Co to znaczy u sto djabłów? Po co pan przychodzisz po nocy do mego domu i niepokoisz nas?

Żyd wśród poszukiwań zatrzymał się nagle, spojrzał badawczym, przenikliwym wzrokiem w twarz Dylskiego, i wytrzymał go tak chwilę a potem rzekł głosem pewnym:

— Pan schowałeś!

— Co takiego?

— Nie udawaj pan; pan wiesz dobrze, czego szukam. Pan chciałeś mnie nastraszyć, nie prawda?

I usiłował się rozśmiać; ale śmiech ten bladą i zmienioną twarz pogiął tylko w jakieś nieforemne kształty, w których zamiast uśmiechu malowało się przerażenie.

— Panie Dylski, nie rób pan żartów, to nie czas na żarty. Oddaj mnie pan.

— Co takiego? — zawołał gwałownie Dylski, przybierając minę zagniewanego.

— Moje pieniądze! — wrzasnął żyd — mój pugilares, który zostawiłem tu, na stole.

Wrzask ten żyda obudził Marynię i Dylską. Obie kobiety zerwały się i przestraszone spojrzały na stojących przy stole.

— Czyś zwarjował żydzie — odparł Dylski. — Słyszycie — dodał zwracając się do żony i córki — mówi, że mu zginęły jakieś pieniądze. To szukaj.

— Na co ja mam szukać, kiedy ja wiem, co pan masz te pieniądze. Panie Dilski nie rób pan tego. To mój cały majątek. Ja pana będę wynagrodzić za to.

— Ale zkąd ja mam u sto djabłów wiedzieć, gdzieś pan podział pieniądze. Kto wie, gdzie mogłeś zgubić.

— Tu, tu, ja będę przysięgać na to, że tu.

— Czy która z was widziała?

Żyd spojrzał błagalnym wzrokiem na zapytane.

— My nic nie widziały, my zaraz poszły spać.

— One nie widziały — odezwał się żyd, który z twarzy mówiących przekonał się, że nie wiedzą o niczem — ja wiem, że nie widziały: aleś pan, panie Dilski, widział, pan masz te pieniądze, oddaj mnie pan; nie rób pan głupstwa, ja panu będę dać znaleźnego pięćdziesiąt guldenów.

— Wynoś się żydzie, nie kłopocz mnie po nocy i daj nam spać.

— Ja panu będę dać sto guldenów — całe sto, coś pan wziął za robotę, i kontrakt oddam.

Żyd prosił coraz to natarczywiej, namiętniej, ruchy jego rąk i spojrzenia były coraz niespokojniejsze, gwałtowniejsze. Chwytał się rękami to za pejsy, to za twarz, przebierał palcami w powietrzu, brodę miał całą powalaną śliną, którą wyrzucał z ust wraz ze słowami, — a oczy, — w tych oczach krwią zaszłych malowało się całe udręczenie żyda, wściekłość, rozpacz, żal i niemoc. Czasami płacz zalewał je łzami, to znowu przelatywały po nich błyskawice gniewu i groźby.

Dylski z dumą obrażonego słuchał lamentów żyda i patrzał bez współczucia na jego boleść. Sprawiało mu to nawet pewną radość, że za tyle upokorzeń, jakich przez tyle lat doznawał od niego, ma chwilę odwetu. I on się tak nieraz musiał żyda prosić o pożyczkę, rozpaczał, lamentował, a żyd był niewzruszony, zimny. Teraz przyszła na niego kolej. Pastwił się nad żydem milczeniem. Czasem tylko ofuknął go i gromił za niesłuszne posądzenia i wypierał się, że o niczem nie wie, że żadnych pieniędzy nie widział.

Żyd z rozpaczy zbezsilniał.

— Panie Dilski — mówił zmęczonym i ochrypłym głosem — oddaj mi pan moje pieniądze, bo będzie źle. Ja policję sprowadzę, ja pana oddam do kryminału.

— Dobrze, będę siedział, a potem zapłacisz mi pan za niewinne posądzenie.

— Nie, nie, ja tylko żartował, na co nam wodzić się po sądach, kiedy ja wiem, że pan oddasz; pan nie taki, no dyć ja pana znam nie od dzisiaj panie Dilski, ja wiem, co pan porządny człowiek, — zaczął już podchlebiać żyd a podchlebstwo poparł obietnicą nagrody. Dawał już pięćset guldenów i stopniując coraz bardziej doszedł aż do tysiąca.

Dylski począł się wahać. Tysiąc guldenów było dla niego także nie złą sumką, mógł się nią podreperować. Wprawdzie był w posiadaniu kilku tysięcy, ale to posiadanie było jeszcze wątpliwem, narażało go na proces a może i coś więcej. Decydował się więc po trochu na oddanie pugilaresu, ale wnet przyszło mu na myśl, że żyd może nie dotrzymać słowa, że chce tylko wyłudzić od niego przyznanie się a jak to zrobi, to potem trudno będzie wyprzeć się. Więc zamiast przyznania się wybuchnął na żyda z większą niż przedtem gwałtownością.

— Panie Dilski — prosił jeszcze Mendel — to cały mój majątek, ja mam żonę, dzieci, nie gub mnie pan i siebie. Bo pan zgnijesz w kryminale za to, to ja panu powiadam, jakem Mendel. A to będzie wstyd dla pana, panie Dilski i dla pańskich dzieci. Nie rób pan tego.

— Ty chcesz mi grozić kryminałem, mnie uczciwemu człowiekowi, i do tego niewinnie posądzać — zawołał w oburzeniu Dylski — wynoś się z mego domu, precz!

Wskazał na drzwi, i dodał:

— Wychodź, bo cię jak psa wyrzucę.

— Dobrze, idę — rzekł żyd widząc że już wyczerpał wszystkie sposoby złamania uporu Dylskiego — idę; ale będę przyjść z policaj, będę kazać aresztować pana, dzieci, wszystkich — zawołał w pasji podnosząc pięść do góry i grożąc nią Dylskiemu. Ten chciał się rzucić za nim; ale żyd szybko zatrzasnął drzwi za sobą i zbiegł po schodach.

— To gałgan, łajdak, posądzać ludzi — rzekł Dylski po jego odejściu obcierając chustką spocone czoło — patrzcie mi go.

Mówił te słowa dla ostatecznego oczyszczenia się z podejrzenia w oczach żony i córki, które były niememi świadkami tej sceny. Chciał przekonać je o swojej niewinności, była to jakby próba tej roli, którą miał odegrać przed sądem. Żona i córka uwierzyły, nawet żona ze świętem oburzeniem potępiała żyda, który śmiał biednych ludzi posądzać o taką nieuczciwość.

— Kto wie gdzie zgubił pieniądze i teraz na nas — dodał Dylski.

— Zwyczajnie żyd, czyha tylko na krew katolicką,

— Niech sprobóje mnie skarżyć, będzie musiał potem dobrze zapłacić za posądek.

— To mało. Powinien pójść do kryminału — dodała Dylska, której pieniężne wynagrodzenie nie wystarczało na takie posądzenie.

— Tak, tak, — potakiwał Dylski żonie — ale słowa te powiedział już machinalnie. Myśl jego była w tej chwili gdzieindziej, myślał o pugilaresie, o schówce, w której go zostawił. Bał się, czy tam będzie bezpieczny, czy go nie odszuka policja, trzeba było prędko się zdecydować, co zrobić, a nie mógł zebrać myśli. W tem z drugiego pokoju odezwał się suchy głos Jana?

— Ojcze, proszę tutaj. (C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW

Napisał

W. J. WDOWISZEWSKI.

(Ciąg dalszy.)

III.

„Aldona żegna odjeżdzającego Alfa“ — obraz olejny Sypniewskiego, był wystawiany, ile wiem, w Warszawie i Krakowie i uderzał pięknością kolorytu. W charakterystyce Aldony więcej było zimnej egzaltacji jak prawdziwego uczucia, a postać Alfa nie grzeszyła nadmiarem szlachetnośc rysów, ani rycerskością; nadto brakowało jej plastycznej wybitności przedstawienia, czego znów o Aldonie powiedzieć nie można. Był to obraz obliczony na efekt, bez wewnętrznych przymiotów duchowych.

Leon Piccard, uczeń szkoły krakowskiej, a następnie monachijskiej, myślący i utalentowany artysta, obdarzył nas obrazem olejnym zatytułowanym: „Uczta Wallenroda.“ Odżałować nie mogę, żem tego obrazu nie widział; raz dla samego obrazu, a powtóre, że nie mogę go samoistnie ocenić wobec czytelników. Sądy rzeczoznawców, do których się odniosłem, jakkolwiek różnez w szczegółach, zgadzają się ze sobą w ogóle. Przedewszystkiem zwracają one uwagę na koloryt, który ma być arcyświetnym — a jeden ze znawców stawia młodego artystę, jako kolorystę,

zaraz po Matejce. Dalej — zgadzają się sądy w tem, że postać samego Wallenroda jest bardzo dobrze pojętą i odtworzoną; „jest to nasz stary znajomy z poematu Mickiewicza (tak mówi jeden z uproszonych znawców) gdy

. . . . na krzesło się rzucił,
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
Stół z puharami i winem wywrócił.
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął,
I drżące usta piana mu okryła.“

Zarzucają natomiast brak charakterystyki w postaciach otaczających Wallenroda i manierę w formowaniu głów. Rysunek ma być poprawny i elegancki. Artystę nie minął jednak zarzut szukania za efektami.

Na tej wzmiance poprzestać muszę, odsyłając do drzeworytniczej kopji, jaka w jednem z czasopism warszawskich umieszczoną była. Oryginał znajdował się na wystawach dorocznych we Wiedniu i Krakowie, a obecnie jest w posiadaniu prywatnem w Warszawie.

Gdy Cornelius, ilustrując Fausta Göthego, stworzył postacie Fausta i Mefistofela, przyjęły się one tak w sztuce niemieckiej, że późniejsi artyści ilustrując Fausta na nowo, przecież poszli za tradycją Corneliusa i typ ten powtarza się we wszystkich dziełach niezmiennie, a dziś jest taką własnością całego narodu, że Niemiec nie jest w stanie wyobrazić sobie, aby drugi, inny Faust był możebny.

U nas malarstwo nie stworzyło jednego typu dla Twardowskiego, bo też żaden poeta o genjuszu Göthego nie zaklął w słowa postaci Twardowskiego; a choć posiadamy kilka poetycznych przerobień ludowego podania, to jednak każdy z pisarzy pojął je inaczej i w inne ubrał szaty.

Mickiewicz w swej Pani Twardowskiej zajął się tylko piekłem domowem czarnoksiężnika, przed którem sam djabeł ucieka; a nie określając dobitniej duchowego charakteru Twardowskiego, pozwala na dowolne odtworzenie tej narodowej postaci.

Walery Eljasz obrazem olejnym przedstawił w naturalnej wielkości „Twardowskiego“ odnośnie do słów Mickiewicza:

W tem gdy wódkę pił z kielicha.

Twardowski chwyta za kielich, a z kielicha wygląda maleńka postać Mefistofela, kłaniająca się czarnoksiężnikowi. Niezadowolenie, zdziwienie i przestrach w zawiędłej, chudej twarzy Twardowskiego dobrze są oddane. Że artysta dał twarzy czarnoksiężnika rysy inteligentne, wyraz rozumny, nie robię mu z tego, jak inni krytycy, zarzutu, bo pojęcie takie charakteru Twardowskiego wynika z natury podania o nim. Człowiek, który pokazywał Zygmuntowi Augustowi cień Barbary, który „czarował“ i miał stosunki ze „złem,“ nie może mieć na obrazie bezmyślnej twarzy—mimo że się troszeczkę „ululać“ w karczemce lubił. Zarzut może spotkać techniczne wykonanie, mianowicie modelowanie rąk, jaskrawość kolorytu, ale nie pojęcie samego Twardowskiego. Obraz ten był w r. 1870 fotografowany.

Najnieszczęśliwszemi są ilustracje do owej uroczej ballady Adama: „Świtezianka.“ W poezji cudna, eteryczna, w malarstwie brzydka i ciężka; tam nieziemska, urocza postać—tu wysoce prozaiczna dziewka. Raczyński przedstawia ją w chwili, gdy wynurza się z wody do stojącego nad brzegiem strzelca; Streitt gdy „ona mu z kosza daje maliny, a on jej kwiaty do wianka“ — ale wykonanie jedno niezgrabniejsze od drugiego. Szkoda mówić; nie ma w tych ilustracjach ani poezji w ogóle, ani Mickiewicza w szczególe.

Jakkolwiek bardzo wysoko cenię talent i dzieła Franciszka Streitta, jednak ilustrację do Mickiewicza ballady „Czaty“ także za chybioną uważać muszę, gdyż oprócz czupryny wojewody, ubiorów polskich i kozaka nie ma w niej zresztą nic polskiego i Mickiewiczowskiego; a jeśli dorachuję do tego błędy rysunkowe w postaci wojewodziny i jałowe linje w figurze klęczącego u nóg jej mężczyzny, to nie umiem sobie wytłumaczyć, czem mogła ilustracja ta zasłużyć na rozpowszechnienie litograficzne, gdy tyle udatniejszych od niej, zaszczytu tego nie dostąpiło.

Jedynie dla dokładności liczebnej nadmieniam tutaj o rysunku Sypniewskiego do ballady Mickiewicza „Ucieczka,“ bo jakkolwiek w rycerzu jadącym jest trochę sztywności zagrobowej, to jednak porwana kochanka i koń, na którym upiór jedzie, są tak źle rysowane, że ilustracji na serjo brać nie podobna. Narysował ją Sypniewski zapewne w chwili niedyspozycji artystycznej. Kopia drzeworytnicza w „Tygodniku Ilustrowanym“ warszawskim.

Gierymski narysował do ballady „To lubię“ jedną ilustrację, zamieszczoną w Tygodniku Ilustrowanym z r. 1867. Na tle krajobrazu oświetlonego księżycem, przedstawioną jest chwila, gdy z wody wynurza się martwica, usłyszawszy słowo: to lubię! Nocny krajobraz oddany jest bardzo dobrze, ale całą jego poezję niszczy niezgrabna, ciężka i brzydka postać wodnej pokutnicy, umieszczona na przodzie ilustracji.

Juljusz Kossak wykonał do ballady „Budrys“ ilustrację i to podwójnie; raz olejno, raz akwarelą i o niej wyraziły się sprawozdania wystawowe pochlebnie. Z żalem muszę na tej wzmiance poprzestać, gdyż oryginałów nie widziałem, a sądów cudzych za moje podawać nie umiem.

Oto szereg ilustracyj jakie wywołał Mickiewicz. Pomimo znacznej ich liczby, nie wiele tylko sprostało swemu zadaniu i godnie odtworzyło poetę. Wrócimy jeszcze do Mickiewicza i ilustratorów jego, mówiąc o ilustrowanych wydaniach poezyj Adama. (C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. Koszczyca.

(Ciąg dalszy.)

— Jechaliśmy przed parą miesiącami — ciągnął dalej Agop — z Diranem i Wartanem, kupcami kierasundzkimi do Kara-Hissar. Powietrze było szkaradne, śnieg gęsty padał. Roztasowaliśmy się przy naszych koniach, i rozłożywszy na boku ognisko, poukładaliśmy na około niego nasze pościele. Rozgrzani zupełnie gorącą kawą, mieliśmy właśnie położyć się spać, gdy nagle zakołatano do drzwi hanu. Zaniepokoiło nas to nieco; wiadomo przecie, że o tej godzinie żaden porządny człowiek w drodze nie mógłby się tu znajdować. Handżi (gospodarz hanu) musiał przyjąć to dobijanie się jak i my, bo nie odpowiadając, poszedł się schować gdzieś w kąt. Ale stukanie coraz głośniejszem się stawało i razem z niem odezwał się silny głos — „Aman! handżi, odmykaj duszko, to ja, Mustafa, czausz z Kierasundy!“ — Handżi podsunął się do drzwi, pytając: — „A któryż ty Mustafa?“ — „Ten sam właśnie, który został teraz zaptją i prosi ciebie, baranku, abyś mu zaraz otworzył jako sułtańskiemu słudze!“ — Zbity z tropu kłamliwemi słowami, handżi dał się zwieść i otworzył drzwi, przez które weszli a raczej wskoczyli dwaj drągale ubieleni śniegiem od stóp do głów. — „Przekleństwo na twoją głowę zuchwały gjaurze!“ — wrzasnął pierwszy rudy urwis z kociemi oczyma — „zkądże ci to przyszło do głowy, wytrzymywać prawowiernych gości pode drzwiami?“ — i zamiast dalszych słów grzmotnął pięścią po głowie handżego, któremu dusza była już na ramieniu. — „A dalej! dalej! ruszaj się żwawo, bym cię jak osła leniwego nie potrzebował kłuć handżarem po udach!“ — dodał drugi, czarny jak djabeł z wąsami od ucha do ucha i nosem krogulczym. — „Rozpalaj prędko ognisko, jeśli nie chcesz, ażebym cię samego podpalił zamiast polana!“ Po tem przywitaniu zrozumieliśmy dobrze, kto są nasi nowi towarzysze noclegu; a ponieważ każdy z nas był dobrze uzbrojony, powtykaliśmy więc za pas wyjęte już pistolety i handżary a dubeltówki pokładliśmy obok siebie na pościeli. Rudy Mustafa patrzał na to z podełba złośliwie się uśmiechając. Wkrótce obaj Turcy usiedli na rogóżkach przed ogniskiem i po kawie kazali sobie podać wódki. Handżi z początku wymawiał się, twierdząc, że stosownie do przepisów żadnych trunków u siebie nie trzyma, ale gdy czarny odparł, że w takim razie będzie zmuszony napić się jego własnej krwi, — natychmiast postawił przed nimi butelkę i kieliszek. Z początku pili milczkiem, lecz po kilku kieliszkach zaczęli wyć straszliwemi głosami jakieś bezecne piosenki; jak dziś pamiętam, gdy przyszło do „pięknej Nedżibé“, rudy urwis wyciągnął w górę głos i szyję jak głodny wilk, a dobywszy pistoletu z za pasa, przegiął się w tył, położył rękę na ziemi i strzelił ku nam. Kula rykoszetem odbiła się od twardego toku i gwizdnęła nad naszemi głowami. — „Aman! — krzyknęliśmy wtedy wszyscy trzej, a Diran jako wielki człowiek (böjuk adam), dodał te słowa: — „wstydźcie się, agowie, takie żarty z niewinnych ludzi stroić! Bawcie się zdrowi, ale strzelając bądźcie uważniejsi.“ — Na to pijacy jeszcze głośniej zaśmiali się a czarny odezwał się w te słowa: — „Któż wam gjaury spać przeszkadza? Przeciwnie, moim zamiarem jest na zawsze was do snu ukołysać“ — i w ślad za tem upewnieniem strzelił drugi raz po ziemi, w stronę gdzieśmy się znajdowali, rycząc przytem na całe gardło jak niedźwiedź. Poznaliśmy wtedy, że niema co dłużej zwlekać, a spojrzawszy po sobie, weszliśmy z opryszkami w układy o haracz. Wartan jako najodważniejszy przemówił:— „Waleczni rycerze, (igidler), zaszczytnej waszej przyjaźni i zgody szukając, prosimy po przyjacielsku, zechciejcie nam oświadczyć czem wam służyć możemy?“ — Rudy wąsa podkręcił i odpowiedział: — „A kozia łopatko! to ci do łba dotąd nie wlazło, że już nam w gardle wysychać zaczęło?“ — „Maszałła! — ciągnął niezmięszany Wartan — szło wam o parę pjastrów, a od czegoż my wasi przyjaciele!“ — „Twardą masz mózgownicę jak uważam, nie o parę, lecz o parę set pjastrów prosilibyśmy was, przezacni przyjaciele!“ — Nie było co dalej mówić, złożyliśmy więc pieniądze na ręce Wartana, który poprawiwszy na sobie pistolety i handżar, śmiało oddał je do rąk rudego opryszka.“

W tem miejscu opowiadanie Agopa urwało

się, bo rozległ się śmiech na około, a ktoś zapytał:

— No, proszę! tak szczęśliwie się skończyło?...

— A może chciałbyś, żeby się skończyło inaczej?— ofuknął Agop.— Turcy dostawszy pieniądze zaczęli jeszcze więcej pić i strach nas nowy zbierał, gdy na szczęście nasze nadjechał prawdziwy patrol żandarmerji, który z urwisami aż do nieprzytomności spił się, poczem my już spokojnie mogliśmy wyruszyć w dalszą drogę.

— Aleście zuchy przynajmniej, że wam nie odebrali broni! — powtórzył ten sam głos.

— Uf! uf! nie odebrali, bo wiedzieli, żebyśmy im tego nigdy płazem nie puścili. Wszak wiedzieliśmy, co byli za jedni, a nie dziś to jutro, któryś z nich będzie potrzebował pieniędzy, wtedy obdarlibyśmy go do nitki; wszyscy chrześcijanie kierasundzcy pomściliby się hańby, któraby nas spotkała w tym razie. Pieniądze można wziąć, ale od broni wara! Turcy panują w Jenisz-Tibi a my w Kierasundzie!

Zuchwałe to powiedzenie, wywołało najrozmaitsze wyrazy na twarzach obecnych. Szczególna loika!...

Ciągły zgrzyt podków, skrzypienie mostu i śpiew ponury poganiaczy wprawiły humor nasz w poważniejszy nastrój, którego daleko chętniej trzyma się tutejsza społeczności, jak nasza udanej swojej lekkości, zaprawnej pychą i żółcią ironji. Żart kapitański wyprowadził nas z tej równowagi, gdy przeciwnie całe nasze otoczenie jakby pracowało nad powróceniem do ogólnej harmonji z życiem wschodniem. Niebezpieczeństwo wystąpiło tu w roli zbawiennego regulatora, dzięki któremu stanęliśmy na owej wysokości mędrca Bagawad Gity, opowiadającego: „że nie opłakuje ani żyjących ani umarłych“ i czoła nasze wypogodziły się jak obojętna powierzchnia głazów nas otaczających albo wiecznie wypogodzone niebo tutejsze. Ironiczna duma europejska zlała się w imponującą całość, z fatalistyczną powagą Wschodu. Wkrótce mieliśmy sposobność przekonać się, że to nasze poddanie się powierzchowne, było jakby hołdem oddanym tutejszemu duchowi w przeczuciu jednego z najwspanialszych jego objawów.

Za mostkiem stało właśnie kilka domków tureckich, porozrzucanych w nieładzie. Z pomiędzy nich wyróżniał się jeden, nie tylko swoją wielkością, ale i kilką oszklonemi szybami, zamiast papierowych. Było to obejście Musy agi, słynnego naokoło z cnót i dostatków. W dzikich tych górach, aga odgrywał rolę prawdziwej opatrzności. Otóż kaimakam kierasundzki, wielki zwolennik europeizmu, jak to wykazaliśmy w pierwszym rozdziale naszego opowiadania, zająwszy się szczerze naszym losem, uprosił agę, aby opiekował się naszą wyprawą; opieka ta, jak o tem poucza wypadek opowiedziany powyżej przez Agopa, mogła być skuteczniejszą od żandarmskiej, nie ubliżając Halilowi-czauszowi. W ogóle kto chce bezpiecznie podróżować po Turcji, powinien zawsze naprzód poszukać tego rodzaju patrjarchalnej powagi, której doniosłość moralna przewyższa wszystkie instytucje bezpieczeństwa publicznego w państwie ottomańskiem.

W chwili gdyśmy się zrównali z obejściem Musy-agi, ujrzeliśmy go stojącego w bramie ze wszystkimi domownikami, „mussafirami“ (rezydentami) i służbą. Rezydent u próżnego Turka jest koniecznym, do podniesienia okazałości jego orszaku; lecz u takiego Musy, jestto zadatek błogosławieństwa bożego, wyrażającego się w naszem przysłowiu: gość w domu, Bóg w domu, które Koran przekazał swoim wyznawcom jako cnotę główną. Musa-aga należał do ścisłych przestrzegaczy Islamu, gdy więc czoło naszej kolumny zrównało się z jego domem, złożył ręce na piersi, podniósł prawą rękę do czoła i pokornym głosem przemówił:

— Wielki honor spotka ten dom, jeśli przestąpicie jego progi! Pokornie was o to proszę!

Ale snać inaczej było zapisano w księdze przeznaczeń, spoczywającej teraz w kieszeni p. nadinżyniera w kształcie zwykłej książeczki notatkowej. Zajęty wpisywaniem rozmaitych uwag, nie chciał przerywać ważnego zatrudnienia, by tem lepiej zaimponować prostodusznym Turkom. Na propozycję więc agi, kazał odmownie odpowiedzieć, zasłaniając się urzędowym swoim charakterem, a odwróciwszy się do nas, odezwał się po francusku:

— Zawsze tam jakaś trawa, czosnek i baranina, na tych ugoszczeniach tureckich, a przytem trzeba pić własne wino i to ukradkiem! Wszystkie te sentymentalne głupstwa, nietylko mnie nie rozczulają lecz nawet gniewają. Naprzód!

— Pozytywisto! czy zapomniałeś o oszczędności? — z ironicznym uśmiechem zawołał kapitan.

— Piękna mi oszczędność! tłuszcz barani to nie wieprzowy, a polewka z suszonych jabłek i gruszek z miodem, to przecie nie wino; podobna strawa nietylko nie oszczędza organizmu, ale przeciwnie niszczy go niesłychanie.

— Kwestja cała została postawioną tak wzniośle, że muszę zgodzić się z tobą kochany Abricot; a ruszając dalej w drogę, całą naszą podróż oddajmy pod wezwanie dzielnego zwierzęcia S. Antoniego.... En route!...

Nie było rady, ruszyliśmy z miejsca, i twarz Musy posmutniała, gdy to zobaczył. Zapewne dotknięty w uczuciu najświętszem, musiał także uprzytomnić sobie niezadowolenie swego haremu, który przez całą noc prażył i smażył najrozmaitsze przysmaki dla gości nadzwyczajnych. Ktoby jednak według naszych zwyczajów chciał sądzić gościnność wschodnią, aniby się domyślił, jaki los spotkał przygotowaną dla nas ucztę.

Oto zamiast pójść do schowków, jakby to nasze gosposie uczyniły, dostała się ona naszej służbie, którą Musa do siebie zaprosił. Upłynęło już prawie pół godziny i byliśmy w pobliżu zrujnowanego zameczka jakiegoś „dere-beja“ (raubrittera), gdy najedzony nasz sztab, podążając na przełaj przez skaliste wertepy, jak stado kozic, dopędził nas wesoło. Mieliśmy przy tej sposobności doskonałą próbkę, jak krajowcy tutejsi umieją szybko uwijać się po górach. Najciekawszem jednak było to, że mimo forsownej jazdy i hojnej uczty nie dostrzegliśmy w nich najmniejszego śladu zmęczenia. Jeden nawet z młodych poganiaczy, tęgi parobczak o smagłej twarzy, z orlim nosem i czarnemi weselem połyskującemi oczami, przechyliwszy głowę na bok, zaczął recitatiwem śpiewać „tiurki“ (improwizację) o uczcie u Musy agi. Dziko-żałośnie wychwalał baranka nadziewanego, i potrawkę z kury i cudne „malebi“ (turecka galareta), aż się rycerski Agop oblizywał, los bowiem zawistny odmówił mu tej przyjemności, jako osobie nie odstępującej kapitana, który go pytał w tej chwili:

— Agopie! ponieważ twój język jest już w ruchu, racz mnie więc objaśnić, co wyśpiewuje ten dudek?

Ormjanin zaśmiał się od ucha do ucha, a odpowiedziawszy na zapytanie, wytłumaczył chłopakowi, że jego śpiew ajentowi bardzo się podoba.

— A jakżeby się nie miał podobać! Wszak słowa piosenki to ziarnka złote, któremi usta wesele kupują — odparł raźno Turek.

Pan B. przysłuchujący się dotąd obojętnie rozmowie, gdy usłyszał wyraz złoto, najlepiej znajomy mu z całego języka tureckiego i uderzony miłem jego brzmieniem, kazał sobie po francusku powtórzyć całą odpowiedź chłopca. Gdy zadość jego woli uczyniono, zrobił kwaśną minę dodając głośno, że mu nie szło o kwiaty poetycznych porównań, ale sądził z rozmowy, że mówiono coś o złocie znajdującem się w górach. Turek ośmielony dłuższą pogadanką, uznał za stosowne znowu się zapytać, co mówił nadinżynier, a dowiedziawszy się zawołał:

— Było złoto, było i srebro w Giumiusz-Maaden — tu wskazał ręką na wysoką górę porosłą lasem — ale teraz uciekło!

— Jakto, uciekło? — wtrącił Tahir-effendi.

— Uciekło effendim — ciągnął chłopiec — tam gdzie wszystko ucieka, jeśli kto niema „kismetu“ (sekretu na szczęście). Złoto i srebro w tej kopalni zaklęły „takwiny“ (pół duchy), tak, że ich teraz znaleźć nie można.

— Duszko-baranku! język twój stał się podobnym do nieposłusznego sługi — ofuknął effendi zawstydzony obecnością frenków, przed którymi tak niepolitycznie kompromitował się jego spółwyznawca.

— Aman! effendi, tyś stary obyczaj zapomniał, lecz my wieśniacy naśladujemy naszych ojców i dziadów i wierzymy w to, w co oni wierzyli. Zresztą jeśli nie wierzysz, powtórzą ci to samo okoliczni mieszkańcy. Zapytaj tylko w Ak-Kaja albo w innej wiosce pobliskiej, a wszyscy ci powiedzą jak przed niedawnemi czasy robiono nawet zabiegi, by zdjąć zaklęcie z Giumiusz-Maaden. Pojawił się był wtedy w naszych stronach derwisz świątobliwy, który wypędził z domu pewnego kowala kilka djabłów, pourywawszy im naprzód rozpalonemi kleszczami języki i ogony; gdy się o tem dowiedzieli nasi ludzie, prosili go, aby i z Giumiusz-Maaden wypędził licho, przed którem złoto i srebro uciekło w górę. Derwisz przychylił się do naszej prośby i długi czas robił rożmaite doświadczenia, aż przekonawszy się ostatecznie, że „takwiny“ uciekły z kopalni, zapewnił, iż można rozpocząć roboty. Rzuciło się wielu do kopania, ale pracowali blisko miesiąc i nic nie znaleźli. Wtedy oznajmił derwisz, że mu się ukazał święty z rozwartą księgą (Koranem), pokazując palcem na XLII suratę „Radę“, gdzie stoi napisano: „Kto pragnie ziemskich dostatków osiągnie takowe, lecz nic nie otrzyma za to w życiu przyszłem“. Mąż święty uznał przeto za stosowne oświadczyć pracującym, że idąc z obowiązku za głosem Proroka rozkazuje im, aby zaprzestali dalszych poszukiwań, ponieważ taka jest wyższa wola. Uciekło więc znowu złoto i odtąd nikt go już nie szuka. Widać takie szczęście nasze — zakończył poważnie chłopak.

(C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Barwy ciał nie mogą być nigdy tak zupełnie nasycone, jak czyste barwy widmowe; wypada to z samegoż sposobu powstawania tych barw. Pochłanianie bowiem światła ma miejsce nie na samej powierzchni ciała, ale w pewnej głębokości, jedna część światła padającego odbija się od powierzchni ciała i ta oczywiście zmianie żadnej nie ulega, białe wraca po odbiciu białem; druga część wnika w wierzchne warstwy atomów i tam dopiero w części ulega pochłonięciu, przeobrażając się w ruch atomów ciała i wywołując podwyższenie jego temperatury, część niepochłonięta zostaje od atomów odbitą, ale miesza się z barwą białą odbitą od powierzchni, a barwa wynikająca z mięszaniny promieni niepochłoniętych, traci przez to na nasyceniu, zyskując zarazem na jasności. Ztąd wypada, że barwy ciał w ogóle mniej są silne, mniej bogate, niż barwy widmowe; natężenie ich barwne jest osłabione przymieszką barwy białej. Często jednak barwy zmięszane są z barwą czarną, która łącząc z białą, w opowiedziany sposób powstającą, sprawia że barwy osłabione są przymieszką barwy szarej. Czarna ta barwa jest również następstwem pochłaniania światła, które w wierzchnich warstwach ciała może być w niektórych miejscach całkowicie zniszczonem, całkowicie w ciepło zamienionem. Wiele zwłaszcza barwy czarnej powstaje przy mięszaniu farb, które się pod tym względem zachowują przeciwnie niż barwy,

Mięszanie barw jest łączeniem świateł, zkąd, jakto objaśnia teorja Younga, powstaje światło białe; mięszanie natomiast farb, barwników, zabarwionych cieczy, jest ujmowaniem światła. Tak np. barwnik niebieski pochłania przeważnie promienie czerwone i żółte, barwnik żółty promienie czerwone i żółte, barwnik żółty promienie niebieskie i fijoletowe. Skoro dwa te barwniki zmięszane zostaną, to barwnik niebieski odrzuca wprawdzie promienie zielone, niebieskie i fijoletowe, ale barwnik żółty pochłania jeszcze niebieskie i fijoletowe, tak że zostają tylko zielone. Atoli zieleń ta jest ciemną i brudną, bo z padającego światła barwnik ten złożony pochłonął promienie czerwone żółte, niebieskie i fijoletowe, zkąd powstało wiele barwy czarnej. Jeżeli zmięszamy barwniki czerwony, zielony i fijoletowy, to wszystkie zgoła barwy zniknąć muszą, bo promienie odbijane przez jedną z tych substancji, pochłaniane są przez inne; wszakże mięszanina ta nie staje się czarną, bo powierzchnia odbija światło białe, które łącząc się z ciemnością, wydaje barwę szarą. Istotnie czarna barwa powstaje w świetle odbitem w tedy tylko, gdy na ciało pada światło, które ono pochłania, np. gdy zielone liście oświetlone są ogniem czerwonym, albo gdy ogień zielony pada na czerwone wargi, — to tłumaczy dlaczego się one wydają czerwonemi przy podobnem oświetleniu.

Barwy ciał przezroczystych, które widzimy w świetle przez nie przechodzącem, tłumaczą się także pochłanianiem, jakiego światło doznaje w przejściu przez ciało. Szkło bezbarwne przedstawia ciało białe przez nie widziane także białem i w ogóle nie zmienia wcale barw ciał, pochłania ono zatem wszystkie barwy w jednostajnej mierze; podobnież zachowują się w ogóle wszystkie ciała przezroczyste bezbarwne. Szkła barwne przepuszczają pewne promienie; inne zatrzymują, pochłaniają. Przez złożenie dwu szkieł barwnych otrzymać można zupełną ciemność; tak np. szkło czerwone przepuszcza tylko promienie czerwone i żółte, pochłania przeto zielone i niebieskie, podczas gdy szkło zielone przepuszcza promienie zielone i niebieskie, a zatrzymuje czerwone i żółte. Jeżeli więc złożymy szkło czerwone z zielonem, to promienie czerwone i żółte, przechodzące przez szkło pierwsze, zatrzymane zostaną przez drugie, tak że patrząc przez podobny układ szkieł mamy zupełną ciemność i zaledwo tylko bardzo silne światło będzie można słabo dojrzeć, dla tegoto takie kombinacje szkieł używają się do obserwacji słońca i jego zaćmień cząstkowych.

Nie wszystkie atoli barwy, jakie widzimy w otaczającym nas świecie, są następstwem pochłaniania światła; innem rozległem ich źródłem jest zjawisko, o którem wspominaliśmy już wyżej — krzyżowanie czyli interferencja światła. Należą tu zachwycające barwy znikomych baniek mydlanych, mieniące się metalicznie barwy piór ptasich, jak również barwy samych metali. Tego rodzaju są też barwy kół małych, otaczających niekiedy słońce i księżyc, oraz barwy jakie dostrzegamy, gdy patrzymy na silne swiatło przez rzęsami przysłonięte oczy, lub przez niezbyt gęstą tkaninę, jak np. muślin. Barwami interferencyjnemi są dalej barwy mętnych środków, błękitu niebieskiego, zmierzchu i zorzy.

Na nieszczęście, zjawisko interferencij należy do najtrudniejszych w fizyce do wytłumaczenia, wymaga ona całego zasobu środków pomocniczych jakich udziela matematyka. A jeżeli jest prawdą, że kto chce wieszcza pojąć, winien po jego dziedzinie wędrować, to niemniej jest pewnem, że kto che zrozumieć matematyka, winien jego mową władać. Zwięzły i jasny język matematyczny przełożony na zwykłą mowę ludzką, staje się rozwlekłym i zawiłym, a najczęściej przekład ten zgoła jest niemożliwym. Dlatego też możemy tu tylko w najogólniejszych rysach wskazać zasadę, na której polega tworzenie się barw interferencyjnych. (C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział IV.

(Ciąg dalszy).

(Litodomy. — Przy ujściu rzeki. — Dymniki górskie. — Dalszy ciąg poszukiwań. — Las o zielonych drzewach. — Zapas paliwa. — Czekajmy odpływu morza! — Widok ze szczytu wybrzeża. — Spław drzewa. — Powrót do brzegu.)

Korespondent polecił przedewszystkiem marynarzowi, ażeby czekał na niego w tem samem miejscu, dokąd niebawem powróci, poczem nie tracąc chwili czasu, podążył do góry w tę samą stronę wybrzeża, którędy kilka godzin przedtem udał się był Nab. W kilka minut później znikł na zakręcie wybrzeża, tak mu spieszno było zasięgnąć wieści o straconym towarzyszu.

Harbert chciał mu towarzyć. Ale marynarz rzekł:

— Zostań tu ze mną mój chłopcze. Musimy przysposobić jakieś koczowisko i pomyśleć, czyby się nie dało wyszukać dla naszych żołądków coś pożywniejszego od muszli. Przyjaciele nasi będą potrzebowali posiłku za powrotem. Niech każdy czyni, co do niego należy.

— Jam gotów, odparł Harbert.

— To dobrze, rzekł marynarz — jakoś to będzie. Postępujmy tylko systematycznie. Czujemy znużenie, zimno i głód. Trzeba nam więc wyszukać sobie przytułku, ognia i pożywienia. W lesie znajdziemy drzewo, w ptasich gniazdach jaja, idzie więc tylko jeszcze o dach.

— Ja więc poszukam w skałach jakiejś jaskini — odparł Harbert — i pewnie uda mi się wynaleść dziurę, w której się wszyscy pomieścimy.

— To, to, mój chłopcze, rzekł Pencroff. I dalej naprzód!

I obaj puścili się w drogę podnóżem olbrzymiej skalistej ściany, po wydmie piaszczystej, którą zwolna opadające morze odkryło. Lecz zamiast iść w górę na północ, oni schodzili w dół na południe. Pencroff zauważył na kilkaset kroków od miejsca, w którem wylądowali, wrzynającą się w brzeg wąską cieśninę, która, zdaniem jego, była łożyskiem rzeki jakiejś lub potoku. Z jednej więc strony było rzeczą nader ważną zamieszkać w pobliżu wody słodkiej, z drugiej zaś strony nie było nieprawdopodobnem przepuszczenie, że prąd morski w tę stronę poniosł Cyrusa.

Powiedzieliśmy wyżej, że owa ściana skalista wznosiła się do wysokości 300 stóp, ale od góry do dołu była jakby z jednego kamienia wyciosaną, i nawet u podnóża jej, które morze z lekka podmywało, nie było żadnej szczeliny mogącej służyć za tymczasowe schronienie. Był to mur prostopadły z twardego granitu, którego nigdy nie dotknęło morze. Dokoła szczytu jego wzlatywały chmury wodnego ptactwa, szczególniej rozmaite rodzaje z rzędu płetwonogich o podłużnym, spłaszczonym i spiczastym dziobie — nader krzykliwe i wcale nie zmięszane widokiem ludzi, którzy pewnie po raz pierwszy przerywali im ich spokojną samotność. Pomiędzy tem ptactwem płetwonogiem rozpoznał Pencroff także rodzaj mew, które zowią czasem wronami morskiemi, tudzież małe drapieżne mewki, gnieżdżące się po zakrętach granitowej ściany. Jeden strzał celny w środek tego ptasiego mrowiska byłby setki ich ubił, lecz do strzału potrzeba strzelby, a ani Pencroff ani Harbert nie posiadali takowej. Zresztą te mewki i te wrony zaledwo dadzą się jeść i nawet jaja ich mają smak obrzydliwy.

Tymczasem Harbert, zboczywszy nieco na lewo, natrafił wkrótce na kilka brył skalnych pokrytych algami,*) które w kilka godzin później przypływające morze powinno było znowu skryć pod wodę. Na tych skałach, wśród wijącego się ziela morskiego, leżały muszle o podwójnej skorupie, któremi nie mógł wzgardzić człowiek zgłodniały. Harbert przywołał zatem Pencroffa, który na głos jego z pośpiechem przybiegł.

— To nie są ślimaki morskie, odparł Harbert, który uważnie przypatrywał się tym uczepionym do skał mięczakom, to litodomy.

— A dadzą się jeść? zapytał Pencroff.

— Wyśmienicie.

— Więc bierzmy się do nich.

Marynarz mógł w tej mierze polegać na zdaniu Harberta. Chłopak ten był nader bity w historji naturalnej i posiadał od lat najmłodszych namiętne zamiłowanie do tej nauki. Ojciec pchnął go więc w tym kierunku, posyłając na wykłady najlepszych profesorów w Bostonie, którzy

*) Gatunek roślin skrytopłciowych. (Prz. tłum.)

polubili to dziecko inteligentne i pracowite. I później jeszcze nieraz miano spożytkować jego zmysł przyrodniczy, który jak na początek nie omylił go wcale.

Litodomy te, były to płazy podłużne, w kształcie gron przyczepione do skały. Należały one do rodzaju mięczaków świdrujących, które przedziurawiają najtwardsze kamienie a skorupa ich zaokrągla się na obu końcach, czego nie widać u pospolitych ślimaków.

Pencroff z Harbertem sprawili okropne spustoszenie pomiędzy temi litodomami, które wylazły były właśnie ze skorupy, aby się pogrzać na słońcu. Jedli je tak jak ostrygi i przekonali się, że mają smak silnie pieprzny, tak że nie trzeba było do nich ani pieprzu ani innej przyprawy.

Tym sposobem zaspokoili chwilowo głód, lecz zato tem gwałtowniej, zwłaszcza po takiej potrawie, dało się im czuć pragnienie. Trzeba więc było szukać słodkiej wody, a nie podlegało wątpliwości, że nie może jej brakować na ziemi tak kapryśnie wyposażonej niespodziewanemi darami przyrody. Pencroff i Harbert zaopatrzywszy się wpierw w obfity zapas litodomów, któremi napełnili kieszenie i chustki, spuścili się napowrót do podnóża góry.

Dwieście kroków dalej przybyli do cieśniny, którą, według zapowiedzi Pencroffa, miała płynąć mała rzeczka. W tem miejscu przerywała się ściana granitowa, zdawało się, że wskutek jakiegoś dawnego podziemnego wybuchu. U podnóża jej było małe wydrążenie w kształcie zatoki, której dno tworzyło kąt dosyć ostry. W tem miejscu szerokość potoku wynosiła 100 stóp, a jego nadbrzeże po obu stronach zaledwie 20 stóp. Rzekę tę ściskały z obu stron prostopadłe ściany granitowe, które ku ujściu zdawały się nieco zniżać. Dalej bieg rzeki zwracał się nagle i ginął w zaroślach małego lasku na pół mili przestrzeni.

— Tu woda! tam las! rzekł Pencroff. Brak nam jeszcze tylko mieszkania!

Woda była w rzece przezroczysta. Marynarz przekonał się, że podczas odpływu morza, kiedy fale morskie jej nie mąciły, była słodką. Stwierdziwszy tę ważną okoliczność, począł Harbert szukać wydrążenia jakiego w skale, któreby mogło służyć im za schronienie, ale daremnie. Skała była wszędzie gładka, równa i prostopadła.

Przy samem jednak ujściu potoku, w miejscu bezpiecznem przed falami morskiemi, podczas przypływu, rumowiska skał tworzyły wprawdzie nie pieczarę, lecz stosy olbrzymich brył, jakie często napotkać można w okolicach mających pokłady granitowe, zwane „dymnikami górskiemi.“

Pencroff i Harbert zapuścili się dość daleko pomiędzy skały, w ich kurytarze posypane piaskiem, w które wdzierało się światło przez szczeliny pomiędzy bryłami granitu, z których wiele utrzymywało równowagę w sposób niepojęty dla oka. Lecz razem ze światłem wkradał się także wiatr — przeciąg podobny temu, jaki panuje po kurytarzach — a z wiatrem zalatywał z zewnątrz ostry, przenikliwy chłód. Marynarz jednak sądził, że ubezpieczywszy lepiej niektóre części tych kurytarzy od działania zewnętrznej atmosfery, pozatykawszy niektóre otwory kamieniami i piaskiem, możnaby te „dymniki“ uczynić mieszkalnemi. Ich kształt geometryczny podobny był do znaku & który oznacza w skróceniu *et caetera*. Zaopatrzywszy dobrze górny guz znaku, którędy wciskał się do środka wiatr południowy i zachodni, można było wybornie zużytkować dalszy jego układ na mieszkanie.

— Oto tego nam było potrzeba! zawołał Pencroff, i jeśli będziemy znów kiedy mieli przy nas p. Smitha, potrafi on niezawodnie wykrzesać coś z tego labiryntu!

— Ujrzymy go jeszcze, ujrzymy, zawołał Harbert, a kiedy powróci, trzeba żeby już zastał mieszkanie przynajmniej znośne. Doprowadzimy do tego, jeżeli nam się uda w lewym kurytarzu skleić ognisko lecz trzebaby zostawić otwór, przez któryby dym wylatywał.

— Uda się nam, uda, mój chłopcze, odparł marynarz, a urządzenie tych dymników — (nazwę tę pozostawił Pencroff temu prowizorycznemu mieszkaniu) — będzie naszem zadaniem. Przedewszystkiem jednak trzeba zabrać zapas paliwa. Sądzę że las przyda nam się do zatkania tych otworów, przez które djabeł teraz hula.

Harbert i Pencroff wydobyli się z pomiędzy „dymników“ i obszedłszy krawędź wybrzeża, poczęli wdrapywać się znowu na lewy brzeg rzeki. Prąd był w tem miejscu dość bystry i unosił ze sobą kilka zeschłych gałęzi. Przypływ morza, który w tej chwili dawał się już czuć, powinien był gwałtownie odeprzeć go wstecz na dość znaczną odległość. Marynarz wpadł więc na myśl, że możnaby ten przypływ i odpływ morza zużytkować do przewozu cięższych materjałów.

Po kwadransie drogi dotarli marynarz i Harbert do kolana, jakie tworzyła rzeka, skręcając w lewo. Od tego punktu począwszy toczył się dalej bieg rzeki środkiem lasu, gdzie rosły przepyszne drzewa. Drzewa te, pomimo spóźnionej pory roku, zachowały swą zieloność, należąc do gatunku drzew szyszkowych, które rodzą się we wszystkich częściach świata, tak pod niebem północnem jak i w krainach podrównikowych. Młody nasz przyrodnik rozróżnił pomiędzy niemi „deodary“, drzewa żywiczne, nader rozpowszechnione w strefie himalajskiej, roztaczające woń bardzo przyjemną. Z pomiędzy tych pięknych drzew strzelały w niebo grupy sosen, rozpościerających szeroko gęste korony swych gałęzi. Pencroff uczuł pod nogami, wśród bujnego ziela, suche gałęzie, trzeszczące jak dziecinne pukawki.

— Brawo! chłopcze, rzekł do Harberta; choć nie znam może nazwisk tych drzew, tyle wiem przynajmniej, że należą do rodzaju „paliwa“ a ten jeden rodzaj obchodzi nas w tej chwili.

— Róbmy zapas! odparł Harbert, i natychmiast wziął się do dzieła.

Zbiórka szła z łatwością. Nie trzeba było nawet łamać drzew, gdyż mnóstwo suchych gałęzi leżało pod nogami. Lecz chociaż nie brak było paliwa, środki przewozu takowego pozostawiały wiele do życzenia. Drzewo to było bardzo suche i musiało szybko się palić. Z tąd wynikała konieczność sprowadzenia go do „dymników“ w większej ilości, a dwóch ludzi nie mogło zbyt znacznemu podołać ciężarowi. Uwagę tę zrobił Harbert.

— E! mój chłopcze, odparł marynarz, trzeba znaleźć jakiś sposób przewiercenia tego drzewa. Sposób na wszystko się znajdzie! Gdybyśmy mieli wózek lub łódkę, toby to łatwo było!

— Lecz mamy rzekę! zawołał Harbert.

— A juźci, odparł Pencroff. Rzeka będzie dla nas drogą, która sama jedzie, a nie darmo wynaleziono tratwy i spławy.

— Tylko że droga nasza, zauważał Harbert, posuwa się w tej chwili w przeciwnym kierunku od tego, jaki nam jest potrzebny. Morze bowiem zaczyna przypływać!

— Zaczekajmy na odpływ, odparł marynarz, a wtedy morze samo powiezie nasze paliwo do „dymników“. Tymczasem przygotujmy spław!

Marynarz z Harbertem skierowali swe kroki ku kątowi, jaki krawędź lasu tworzyła ze rzeką. Obaj dźwigali odpowiedni do sił swoich ładunek drzewa w wiązkach. Na nadbrzeżnem urwisku znajdowała się również wielka ilość suchych gałęzi, pomiędzy zaroślami, w których ludzka noga nigdy zapewne nie postała. Pencroff wziął się natychmiast do sporządzenia tratwy.

W małej przestrzeni utworzonej przez klinowo wystający kawałek brzegu, o który łamał się prąd rzeki, składali marynarz z Harbertem duże kawały drzewa, związując takowe ze sobą zapomocą suchej wikliny. W ten sposób sporządzili rodzaj tratwy, na której ułożyli w stos cały swój zapas drzewa, wynoszący mniej więcej tyle, ile mogło nabrać dwudziestu ludzi. W godzinę robota była ukończoną i spław przywiązany do brzegu miał już tylko czekać na przypływ morza.

Mając zatem jeszcze kilka godzin wolnych, postanowili Pencroff i Harbert wyleźć na sam szczyt wyniosłego nadbrzeża i ztamtąd rozpatrzeć się dokładniej w okolicy.

W odległości 200 kroków po za kolanem, które tworzyła rzeka, skalista ściana wybrzeża zakończona bezładnie natłoczonemi skałami, przechodziła w lekką spadzistość tuż przy krawędzi lasu. Spadzistość tę tworzyły, jakby ręką natury wyżłobione schody. Marynarz i Harbert poczęli więc po nich wspinać się do góry. Dzięki silnym swym ścięgnom, w kilku minutach dotarli do szczytu i stanęli na krawędzi urwiska po nad ujściem rzeki.

Stanąwszy na szczycie, pierwsze spojrzenie rzucili na ten ocean, który przebywali w tak okropnych okolicznościach! Ze wzruszeniem patrzali w ową północną stronę wybrzeża, gdzie nastąpiła ostateczna katastrofa. Tam to zginął Cyrus Smith. Śledzili wzrokiem za jakim szczątkiem balonu, do którego mógłby uczepić się człowiek. Ni śladu czegoś podobnego! Wskróś tylko niezmierna wodna pustynia. Całe wybrzeże w koło było również puste. Nie widać było nigdzie ani Gedeona Spiletta, ani Naba. Łatwo jednak być mogło, że w tej chwili tak daleko byli oddaleni, że ich dojrzeć nie można było.

— Coś mi powiada, ozwał się Harbert, że taki dzielny człowiek, jak pan Cyrus nie mógł pójść na dno, jak pierwszy lepszy. Musiał gdzieś przypłynąć do brzegu. Prawda, Pencroff?

Marynarz smutnie pochylił głowę. On nie spodziewał się już więcej Cyrusa Smitha, lecz nie chcąc wszelkiej nadziei odbierać Harbertowi, odparł:

— Niezawodnie, niezawodnie, nasz inżynier da sobie radę nawet tam, gdzieby każdy inny przepadł z kretesem!...

Tymczasem przypatrywał się uważnie położeniu i kształtom wybrzeża. Na dole, u stóp jego rozciągała się piaszczysta płaszczyzna, zamknięta po prawej stronie ujścia rzeki szeregiem raf z morza sterczących. Skały te wynurzone jeszcze z wody podobne były do krokodyli wylęgających się w mule nadbrzeżnym. Z tamtej strony tych raf połyskiwało morze w promieniach słonecznych. Ne południe ostra krawędź zamykała widnokrąg, tak, że nie można było poznać, czyli ziemia w tym kierunku się przedłuża, lub czyli ciągnie się w kierunku południowo-wschodnim i południowo-zachodnim, w którym to razie ziemia ta byłaby półwyspem nader przedłużonym. Na północnym

krańcu zatoki rysowały się daleko kształty wybrzeża w linji bardziej zaokrąglonej. Tam rzeka była płytką, szeroko rozlaną, bez urwistych brzegów, z szerokiemi ławami piasku, który odpływ morza poodkrywał.

Pencroff i Harbert zwrócili teraz wzrok swój na zachód. Oko ich oparło się naprzód na górze, piętrzącej się w odległości sześciu lub siedmiu mil, której wierzchołek pokryty był śniegiem. Począwszy od pierwszych jej pagórków aż na dwie mile ku wybrzeżu, ciągnęły się wielkie obszary lasów, ogołocone z liścia, gdzieniegdzie tylko przerywane zielonemi grupami drzew iglastych. — Dalej, od krańca tego boru aż do samego wybrzeża, zieleniła się szeroka płaszczyzna porośnięta grupami drzew bezładnie porozrzucanych. Po lewej stronie widać było wśród rzadkich drzew połyskującą rzeczułkę; zdawało się że bieg jej dość kręty wiódł ją w poboczne pasma gór, zkąd zapewne musiało wytryskać jej źródło. W miejscu, gdzie marynarz zostawił spław drzewa, poczęła rzeka płynąć pomiędzy dwiema wysokiemi ścianami granitowemi, ale podczas gdy po lewym boku brzegi były gładkie i urwiste, po prawym natomiast poczęły się zwolna coraz bardziej zniżać, po opoce następowały odłamy skał, po skałach kamienie, po kamieniach kamyczki — i tak aż do samej krawędzi wybrzeża.

— Mieliżbyśmy się znajdować na wyspie?... mruknął marynarz.

— W każdym razie zdaje się być dość rozległą! odparł chłopak.

— Najrozleglejsza wyspa jest zawsze tylko wyspą! rzekł Pencroff.

Ważna ta kwestja nie mogła natychmiast być rozstrzygniętą. Trzeba to było na później odłożyć. Sama zaś ta kraina, czy była wyspą czy też stałym lądem, zdawała się żyzną, w przyjemne widoki i różnorodne opływającą płody.

— To szęście nasze, rzekł Pencroff, a w położeniu w jakiem jesteśmy winniśmy za to wdzięczność Opatrzności.

— Niechże więc Bogu będzie chwała! odparł Harbert, którego dusza pobożna przepełnioną była wdzięcznością dla Stwórcy wszech rzeczy.

Długo Pencroff i Harbert rozpatrywali się po krainie, na którą los ich wyrzucił, lecz z tak ogólnikowego przeglądu trudno było odgadnąć, co przyszłość dla nich chowała w swem łonie.

Następnie rozpoczęli powrót południowym grzbietem pasma gór granitowych, zarysowanym długim festonem skał o najdziwaczniejszych kształtach. Tu po szczelinach skał i po dziurach wyżłobionych w kamieniu gnieździło się tysiące ptactwa. Harbert skacząc ze skały na skałę spłoszył jedną taką gromadę skrzydlatą.

— A! to nie są mewy! zawołał.

— A cóż to za ptaki? zapytał Pencroff. Na honor, jabym myślał że to gołębie!

— W samej rzeczy, odparł Harbert, to są gołębie ale dzikie, zwane skalnemi. Poznaję je po podwójnym pasku czarnym na skrzydłach, po białym kuprze i po pierzu modro-popielatem. A ponieważ sam gołąb' skalny jest bardzo smaczny, więc i jaja jego muszą być wyśmienite, a założyłbym się, że ich dość znajdziemy po gniazdach.

— Nie pozwolimy im się wywieść, chyba pod postacią jajecznicy! odparł wesoło Pencroff.

— A w czemże zgotujesz jajecznicę? zapytał Harbert. W kapeluszu?

— Prawda, odparł marynarz, nie znam się dość na kuglarstwie. Będziemy się więc kontentować jajami na miękko; co do mnie podejmuję się sprzątnąć najtwardsze!

Pencroff i Harbert przeszukiwali sumiennie dziury w skałach i w istocie znaleźli w niektórych jaja gołębie! Zebrali ich kilka tuzinów w chustkę i ponieważ przypływ morza się zbliżał, poczęli spuszczać się na dół ku rzece.

Kiedy przybyli do miejsca, w którem rzeka tworzyła kolano, była godzina pierwsza z południa. Prąd wody począł się już odwracać. Trzeba więc było korzystać z odpływu, ażeby spław z drzewem sprowadzić do ujścia rzeki. Pencroff nie chciał puścić spławu na los wody, lecz nie miał również ochoty sam wsiąść na spław, ażeby nim kierować. Ale marynarz nigdy nie jest w kłopocie o linę lub sznur; Pencroff więc ukręcił na prędce ze suchej wikliny powróz na kilka sążni długości. Żywy ten powróz przymocowali do tylnej części tratwy, marynarz ujął jeden koniec do ręki, podczas gdy Harbert za pomocą długiej żerdzi odpychał tratwę od brzegu i w ten sposób kierował ją z prądem wody.

Manewr ten udał się wyśmienicie. Potężny ładunek z drzewem wstrzymywany ręką marynarza idącego brzegiem, płynął prosto z wodą. Brzeg był bardzo urwisty, nie było niebezpieczeństwa ażeby spław osiadł na mieliźnie a mniej więcej we dwie godziny później przybił do ujścia rzeki, o kilka kroków od „dymników“.

(C. d. n.)

MYŚLI PRZED-ŚLUBNE.

Blada lampa rozświeca słabo mrok wieczorny...
Bledszy księżyc o śniegi drżący promień łamie;
Ciężką skroń cięższe myśli chylą mi na ramię —
Jęk ich wśród ciszy nocnej... brzmi jak dzwon klasztorny.

Cierpię!... O, Ty! w Ogrojcu modlący się, korny,
Z okiem utkwionem w męki i ofiary znamię,
Zwalcz dumnego Anioła, co woła: „Nie skłamię,
Bom jest Prawdą!“ i z losem toczy bój uporny.

Zwalcz dumnego Anioła, co krzykiem wybucha
Z głębi biednej mej duszy!... Niech spojrzy, o Chryste!
Na jasność Twego czoła, na Twe łzy przeczyste!

Dopomóż mi najwyższą zdobyć palmę ducha
Potęgą tych pamiętnych słów Twoich: „Zaiste!
„Błogosławieni cisi, bo ich sam Bóg słucha!“

* * *

Słucha?!.. W koło zaległy ciemność i milczenie...
Nawet w sercu mem, niegdyś pełnem jasnej wiary.
Boże! darmo się ścielę pod krzyż Twój ofiary,
Darmo wdzieram się myślą w to niebios sklepienie

By cię znaleźć! Z rozbitej złudzeń moich czary
Wypłynęły serdecznej krwi i łez strumienie!
A świat posiał w mej piersi rozpacz i zwątpienie:
Gdzież Cię szukać? o Boże moich ojców stary!

Jam dziecię mego wieku... choć z duszą gorącą
Błądzę, jak duch pokutny, wśród drwiącej gromady,
Jak stęskniony wędrowiec, przez puszczę milczącą...

O Panie! łzami zmyję Twoje krwawe ślady,
Z roskoszą zwiększę orszak męczenników blady,
Lecz pragnę wierzyć! wierzyć!!.. Zmysły mi się mącą!

* * *

Jestże jaka istota co w wszechmocnej dłoni
Szalę sprawiedliwości po nad ziemią waży?
Jestże gdzie ołtarz prawdy, nad mnóstwem ołtarzy,
Przed któremi od wieków ludzkość czoło kłoni?

Jestże oko co widzi tę myśl na mej skroni?
Ten rumieniec gorączki płonący na twarzy,
Ten ból co się wśród nocy w piersi mojej żarzy
Nim zimowy kir niebios jutrzenka zapłoni?

Jestże gdzie serce wielkie, jasne, niezmierzone,
Co bezbrzeżną miłości otchłań w sobie mieści,
Co czuwa bez spoczynku nad ludzkością całą?

I cierpienia jej wije—na chwały koronę!
Nie ma, zaprzecza rozum, a pełne boleści
Serce szarpiąc się w łonie — Jest! zaświadcza śmiało.

* * *

Jest? więc ufam ci serce! wszak przez całe życie
Wiodły mnie twe przeczucia, twój rozkaz jedynie,
Dziś... choć mi już przez zimne przyszłości pustynie
Nie będziesz przewodniczyć, obłąkane dziecię!

Wzywam cię! raz ostatni, przemów w tej godzinie!
A Ty, o w niewiadomym ukryta błękicie,
Istoto bóstwa, słuchaj spowiedzi, co skrycie
Na Twoje łono tylko rozżalona spłynie.

Tak ciemno... wszystko we śnie głębokim spoczywa
Tak cicho! żadneż żadne echo nie odpowie
Na jęk, co się z mej piersi ściśniętej wyrywa?

A tyle wre błagania w każdem mojem słowie!
A rozpacz ma tak darmo współczucia przyzywa.
Tylko może gdzieś w cieniach płaczą Aniołowie!

* * *

Wkrótce zielony wieniec upną mi u czoła,
Ślubna zasłona skryje wypłakane oczy,
Orszak strojnych, wesołych rówieśnic otoczy,
I powiedzie w rozwarte podwoje kościoła.

Zabłysną światła, szmery powioną dokoła,
Na chórze głos organu zadźwięknie proroczy;
Ostatnia łza paląca w głąb' serca się stoczy,
Gdzie jej już nikt wyszydzić, nikt dostrzedz nie zdoła.

Jedna chwila... i słowo straszliwe „na wieki!“
Łączące dwoje istot ciężkiemi łańcuchy
Zimnego obowiązku—usłyszy lud tłumny...

Na wieki! — szepną blade moich wspomnień duchy,
Odlatując na zawsze—w świat mroczny... daleki....
I wywiodą mnie znowu.. czemuż nie do trumny?!

* * *

Umrzeć! Ach, gdyby umrzeć! i w tym białym stroju,
Jak uśpione na grobach postacie kamienne
Usnąć... wpatrzona duchem w moje sny promienne,
Usnąć wsłuchana duchem w harmonję spokoju!

Gdybyż spocząć już błogo po niewdzięcznym znoju
Życia, co mi tak cięży—choć drugim tak cenne,
I zostawić za sobą to piekło bezdenne
Obłudy, zdrad, zawiści i wiecznego boju!

Gdyby umrzeć! i unieść białe wspomnień kwiecie
Pod słońce sfer jaśniejszych — sfer gdzieś zamogilnych!
Możeby mu wróciły jego woń... i duszę!

Pocóż, poco szczęśliwszym zawadzać na świecie?
Płonąc ciągle na stosie swoich skarg bezsilnych?
Och! Pozwólcie mi umrzeć! Bluźnię... ja żyć muszę!

* * *

Przyszłości! smutna, zimna, surowa i naga,
Odarta z wszelkich złudzeń pozłacanej szaty —
Witam cię! odrzucając jak powiędłe kwiaty
Wszystko, czego zuchwałe serce się domaga!

Życie... to dług, co słusznej przyzywa wypłaty,
Więc wesprzeć mnie powinna rozpaczna odwaga...
Dziecięca wdzięczność o nią na kolanach błaga
Dla szczęścia biednej matki — pochylonej laty!

Muszę żyć! nie zdradzając, że konam powoli...
Może wreszcie wzrok myśli oślepnie przez ciemnie,
Echa wspomnień zamilkną... i serce przeboli.

I jako inni ducha zaprę się nikczemnie,
Niosąc spokojnie łańcuch niewolniczej doli...
Ach!... słyszę głos znajomy co woła: Daremnie!

* * *

Nie! nie!.. choć dumną głowę ugnę i ukorzę,
Na czole znaku hańby świat mi nie wyciśnie,
Nad kim raz promień smutnej wielkości zawiśnie,
Do bytu pasożytów powrócić nie może!

W czyjej duszy przeczyste prawd źródło wytryśnie,
A zarzuci je kałem — tego roztrąć Boże
Na wieki w proch nicestwa! Dla tego niech zorze
Ogromne Zmartwychwstania nigdy nie zabłyśnie.

Gdy puklerz mych przekonań poświęcenie kruszy,
Gdy dla drogiej istoty broń uporu hardą
Złożę u stóp człowieka, którego nie wzruszy

Ból mój, — co wyzyskuje dolę moją twardą,
Niechaj zadrży pod słów tych zabójczą pogardą:
Bierzesz tylko me ciało, lecz nie weźmiesz duszy!

* * *

Miłości! smutny z niebios strącony aniele!
Co się w tym tłumie lichym błąkasz zapoznany,
I darmo niesiesz balsam na ludzkości rany,
I darmo niecisz iskry w zastygłym popiele...

Do mnie!.. W opustoszonym mej duszy kościele
Jest jeszcze jeden ołtarz — gromem nie strzaskany,
Na nim ciebie postawię! i wieniec różany
Wszystkich snów mych powiędłych u stóp ci zaścielę...

Och, choć uwiądł już dawno, lecz godnie przystroi
Królewskie twoje stopy; takie tylko kwiaty,
Taki hołd dziś — i taki ołtarz ci przystoi!

Płaczmy razem, Aniele, dni naszych utraty!
Płaczmy, u zatrzaśniętych przed nami podwoi,
I prośmy śmierć o powrót w znajome nam światy!

* * *

Kłamie, kto ci zaprzecza istnienia i bytu!
Kto mówi, że twą postać przybrał cielec złoty
Lub niegodna namiętność! Przeczuciem tęsknoty
Widziałam cię przy sobie od dni moich świtu!

A byłaś taką czystą — jak kryształ błękitu,
A byłaś taką świętą — jak boleść sieroty...
Tak wielką, jak pragnienia przeklętej istoty
Co skazana wciąż myślą ulatać do szczytu!

Cień twój mi towarzyszył w zamęcie złych losów
A ludzie mnie trwożnemi ścigali oczyma,
Jak gdyby na mem czole, kładł znamię Kaima!

Lecz nie widzieli ciebie — posłanko niebiosów!
A gdym się w chór ich szydnych zasłuchała głosów,
Słyszałam: żem szaloną! i że ciebie nie ma!

* * *

O! gdyby tylko jedno na tym całym globie
Biło serce, to serce co w mej piersi bije —
Zawołałabym jeszcze: jesteś, bo ja żyję!
Bo wszystkie snów mych tętna dla ciebie i w tobie!

A głos mój by zagłuszył ten lud, który gnije
W zepsuciu, zwodząc tany na swym własnym grobie.
Ten lud, który w wiekowej znękany żałobie,
Z czary zgubnego szału — odurzenie pije!

O! miłości — tyś nie jest bachantką szaloną,
Ani maską kryjącą ludzkie cele brudne!
Lecz gołębiem z oliwną gałązką zieloną...

Co niegdyś nad obszary wznosząc się bezludne,
Wieścił wybranych garstce, święto serca cudne,
O! miłości!... a jednak tyś dla mnie straconą!

* * *

Pojęłam cię: strażnicą gwiazdą cichej strzechy,
Gdzie twój promień niebieski biedne ściany złoci...
Gdzie jak kwiaty róż polnych i skromnych stokroci
Wijesz na wieniec szczęścia twe łzy i uśmiechy!

Pojęłam cię: w cierpieniu -- Aniołem pociechy!
Ochłodą, gdy znój życia krwawo skroń zapoci,
Kotwicą dla tych, których los tu osieroci —
Samotnych!... i chrztem świętym co obmywa grzechy.

Pojęłam cię, jak chciałam pojąć przyszłość własną,
Jak czarodziejską tkankę słowiczej piosenki,
Rzuconej przez serc dwoje — w nieskończoność jasną!

Zgrozo! a muszę śmiechem gluszące skryte jęki
Dokąd od łez tajonych oczy me nie zgasną,
Bluźnić ci kłamstwem!... Pióro wypada mi z ręki...

1875. *Marja B.*

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział V.

(Ciąg dalszy.)

Przysłowie, które powiada „la nuit porte conseil“, nie sprawdziło się na p. Karolu, i ściśle rzecz biorąc, sprawdzić się nie mogło, zważywszy iż dotyczy ono ludzi śpiących w nocy, nie zaś obracających dzień na tę funkcję swojego organizmu zwierzęcego. Z tego powodu zapewne, p. Karol i tym razem, jak zwykle po przebudzeniu, był w bardzo złym humorze. Uroczyste milczenie panowało dokoła, podczas gdy spożywał kawę— nikt nie miał ochoty wdawać się w rozmowę z zachmurzonym Jowiszem domowym, i wyzywać jego pioruny. Rozpowszechniono wprawdzie błędne mniemanie, jakoby gromowładny Zews zostawał raczej pod olimpijskim pantoflem Junony, jest to atoli tylko jednem z owych mylnych zapatrywań się na stosunki mitologiczne, które rozpowszechnili pp. Meilhac i Halévy przy akompanjamencie muzyki Offenbacha — kto czytał Iliadę, ten wie, że ojciec bogów umiał utrzymać niepospolity rygor w swoim domu. Posiliwszy się jednakowoż ambrozją i zasłoniwszy się obłokiem dymu, wydobytym z fajki, Zews powiódł w koło łaskawszym wzrokiem i przemówił:

— Gdzież są dzieci!

— Poszły przejść się na chwilę do ogrodu, zaraz powrócą — odparła skwapliwie pani Leokadja Skryptowiczowa.

— Jakto, poszły same, bez ciebie? zagrzmiało z Olimpu.

— Nie mogłam iść z niemi, bo wiedziałam że się zbudzisz i będziesz potrzebował kawy. Prosiłam pana Rolińskiego, aby im towarzyszył.

— A, już to najmniej dwudziesty raz słyszę o tem towarzystwie! Czy pan Roliński nie ma nic innego do czynienia, jak tylko wodzić się na spacer z naszemi dziećmi i Helenką? I czy sądzisz, że dla dorosłych panienek nie możnaby znaleść innego towarzystwa, bardziej właściwego, niż taki młody człowiek, pędziwiatr, jak Roliński?

— Cóż mam począć? Wszak sam nie chciałeś ani słyszeć o żadnej nauczycielce, albo guwernantce! Jeżeli panny mogą uczyć się matematyki, geometrji i rysunków od p. Rolińskiego, historji od p. Finkla, języków od p. Gianellego, a muzyki od p. Czerskiego, dla czegóżby nie miały z jednym z nich chodzić na przechadzkę? Ofiarowała mi się wprawdzie p. Trzecieszczakiewiczowa....

— Niechaj was Bóg broni od niej! Wiesz, że nie chcę i słyszeć o tej jędzy!

— Ja jej przecież nie zapraszam, ale i wyprosić jej nie mogę, jeżeli przyjdzie do mnie. Była właśnie dzisiaj i żaliła się niezmiernie.... W istocie, jest to bardzo nieszczęśliwa kobieta...

— Psy jej się nie chowają zapewne.

— Niebądź-że takim nieludzkim! Ma ona niezmiernie wiele zmartwienia ze swoją siostrzenicą, Wandą. Ten jakiś p. Zgorzelski uwodzi ją już od tylu lat, dziewczyna kocha się na zabój, a on dotychczas nie oświadczył się nawet formalnie. Wanda odmówiła już parę niezłych partyj, czekając na niego, a tymczasem lata płyną.... Jużto Bogiem a prawdą, wiele temu winna pani Zamecka.

— Pani Zamecka winna? Nie wiem, czy ci to mówiłem, że swojego czasu Helena wzięła pannę Wandę do siebie, ażeby jej wybić z głowy ten romans niepotrzebny?

— A tymczasem.... ale co tam wspominać o tem, wiem że nie lubisz słuchać „babskich plotek“.

— Dziś jestem usposobiony do słuchania ich. Powiedz mi wszystko, coś słyszała. „Baby“, mojem zdaniem, są tak złe, że są zawsze w stanie zrobić przynajmniej połowę tego złego, co mówią jedne o drugich. Pojmujesz zresztą, że są okoliczności, w których, jeżeli można, należy odjąć wszelką podstawę nawet najwierutniejszym plotkom. Mów tedy wszystko, co wiesz.

Pani Leokadja rada była skorzystać z tej rzadkiej sposobności wygadania się z mężem, i odwrócić oraz jego uwagę od drażliwych kwestyj, które był poruszył.

— Już to przyznam ci się, rzekła, że i mnie samej trudno uwierzyć w to wszystko, co mówi p. Trzecieszczakiewiczowa. Zapewnia ona, że pani Zamecka owładnęła zupełnie Wandzię, i okazuje się przychylną jej miłostkom, dokładając wszelkich starań, aby dziewczyna i na chwilę nie zapomniała o p. Zgorzelskim, a tymczasem.

— Cóż, tymczasem?

— Otóż jest właśnie to, czemu ja wierzyć nie mogę. Jestże to prawdopodobnem, by kobieta nie młoda już, i która tyle zawdzięcza mężowi, jak twoja siostra, oszukiwała go w sposób tak haniebny! To już jest widoczny wymysł pani Trzecieszczakiewiczowej, która w istocie, ma bardzo zły język.... Nie warto powtarzać tego, co ona mówi.

— Ja wszakże chcę wiedzieć, i powiesz mi natychmiast, co zmyśliła p. Trzecieszczakiewiczowa.

— Że.., romans Zgorzelskiego z Wandzią jest tylko pretekstem, pod którym on bywa w domu państwa Zameckich, i że w istocie romansuje z kim innym. Nie daję temu wiary, bo gdyby Helena nawet na prawdę do tego stopnia wyzuła się z sumienia i zapomniała o wszystkich obowiązkach, to przecież p. Tadeusz nie jest ślepym, a Wanda także spostrzegłaby się i zerwałaby stosunek z człowiekiem, który ją uwodzi....

— Ale, koniec końców, ten Zgorzelski bywa u Zameckich?

— O, bywa! Spotykał się z nimi za granicą, odwiedzał ich tu w mieście, a teraz na wsi, sąsiadując z nimi, ma być prawie codziennym gościem w Rymiszowie.

— Pokazuje się, że nie można nigdy być dość wielkim pesymistą. Kiedy mię Helena zapewniała, że nie ścierpi go w swoim domu, wierzyłem jej. Kto wie zresztą, może w istocie, jak większa część kobiet, ma słabość do swatania.... Trudno przypuszczać, ażeby mogła kochać się w człowieku, którym pogardza zbardzo ważnych pobudek.

Zdanie to potwierdziła pani Skryptowiczowa tak wymownie, że p. Karol utwierdził się w niem na razie, wiedział bowiem, że żona jego mówi tylko to, co czuje, a ponieważ miał z natury nie-

miecką skłonność do tworzenia ogólnych prawideł na podstawie pojedyńczych faktów, więc wyrozumował sobie, że ponieważ jedna kobieta nie była zdolną kochać mężczyzny w jej oczach pozbawionego wszelkiej moralnej wartości, i nie imponującego jej niczem, nawet stanowiskiem socjalnem — więc też i żadna kochać sic w podobnych warunkach nie potrafi. Ten tok myśli przypomniał p, Karolowi znowu p. Trzecieszczakiewiczowę i wywołał nowy wybuch niezadowolenia z powodu jej wizyt.

— Zwłaszcza gdy taka plotkarka w okamgnieniu spostrzeże, co się gdzie dzieje, i rozniesie to po całym świecie. Niechno się tylko dowie, że puszczasz dziewczęta na spacer z p. Rolińskim, a zobaczysz, jak nam się przysłuży! Proszę cię bardzo, aby to się więcej nie powtarzało!

— Mimo to, Karolu....

— Co tam znowu, „mimo to!“ Nie mimo to, ale dla tego, dla tego właśnie, że nie chcę tego, i basta! Zakazuję tych spacerów jak najwyraźniej, dziewczęta niech chodzą z tobą. albo niech siedzą w domu. Zakazuję i zabraniam!

— Dziewczęta nie mogą siedzieć, jak w klatce, odparła p. Skryptowiczowa, zdobywając się na opozycję tak energiczną. że p. Skryptowicz w pierwszej chwili oniemiał ze zdziwienia.— Nie chciałeś mnie słuchać, kiedy mówiłam, że mi koniecznie potrzeba kobiety, któraby mię wyręczała w moich obowiązkach. Masz uprzedzenie przeciw nauczycielkom i od kilku lat wszystkie lekcje powierzyłeś profesorom. Rezultat z jednej strony nie zły, moje panny bowiem wkrótce ponoś zaczną książki pisać, ale....

— Jakież ale?....

— Takie ale, że nie moja w tem wina, jeżeli Helenka zajęła się Rolińskim. Chłopak przystojny, i wcale do rzeczy, boję się tylko, że jakoś nie bardzo myśli o niej, bo zresztą, kto wie, czy nie byłaby z nim szczęśliwą. Zły to i niechrześcijański zwyczaj, odżegnywać chmurę gradową, aby szła na pole sąsiada, ale jako matka, rada jestem, że przynajmniej żadna z moich córek nie jest tak oszołomioną. Bogu dzięki, p. Finkel zezuje, a p. Czerski taki niedorzeczny, że dziewczęta śmieją się z niego. P. Gianelli stary i żonaty, nie ma więc niebezpieczeństwa. Roliński natomiast łatwo może się podobać, i podobał się Helence. Musiałeś przecież uważać, że jest zmienioną do niepoznania, smutną i zamyśloną. W wolnych chwilach chowa się po kątach i spisuje dziennik, z którego podchwyciłam kilka kartek. O, patrz!

P. Karol w stanie kompletnego osłupienia wziął z rąk żony c o r p u s d e l i c t i, o którem mówiła, i czytał, co następuje:

„Wacław także jest sierotą. Opowiadał nam wczoraj, jak w dziewiątym roku życia znalazł się bez dachu, bez schronienia. Ojciec jego był owdowiałym księdzem ruskim, gdy umarł, następca jego zajął plebanję i wypędził sierotę na ulicę. Biedny Wacław tułał się po wsi dzień cały, a nie śmiał przyznać się nikomu, że głodny, ani prosić o kawałek chleba. Znużony, usnął pod płotem, przy drodze, na wilgotnej trawie. Z głodu i chłodu dostał gorączki, i marzył, że go anioł niósł z sobą do nieba, i układał w wygodne, ciepłe łóżeczko, i że majestatyczny głos organów napełniał w koło powietrze. Jak on to przecudnie umie opowiadać! Zdawało mi się, że słyszę chór aniołów, śpiewających: Hosannah! i że widzę ubogiego chłopczyka, niesionego w niebo na ich skrzydłach. Jaki on był biedny! Stokroć biedniejszy odemnie, bo neńka chociaż mię biła i była złą, nie broniła mi zagrzać się w chacie. Ale i jemu, jak mnie, nie darmo śniła się bajka. Obudził się w istocie w ciepłem łóżeczku, i był przy nim doktor, który mu podawał leki, a tym aniołem, który go zabrał z deszczu i wilgoci, był stary proboszcz z sąsiedniej wsi, i ten wychował go jak swego syna. Spamiętałam dobrze jego nazwisko, nazywał się Chyżycki. Musi to być bardzo dobry człowiek, tak dobry jak pan Zamecki, i jak wuj Karol, i jak ciocia, i jak wszyscy w tym domu. Moj Boże, ileż to dobrych ludzi jest na świecie, a chociaż wszyscy narzekają, że ich nie ma, przecież sierota zawsze znajdzie serce i opiekę! Kto wie, gdyby Wacław wiedział, jak mocno nasze losy są podobne do siebie, kochałby mię może, jak ja jego kocham. Nie miałam wszakże odwagi opowiedzieć mu mojej historji, bo ciocia nie lubi, bym o tem wspominała, a zresztą, płacz mi przeszkodził. Dobra ciocia całowała mię i tuliła do siebie, ona odgadła, co się działo w mojej duszy, Odgadła niestety tylko połowę; ja nie płakałam tylko nad sobą, ale nad wszystkimi, których nie ma komu kochać, a którzy później, później dopiero znajdą życzliwe, przyjazne serca, pojmuję jaka to rozkosz kochać kogoś, co mało albo i żadnej miłości nie znalazł w świecie. O, gdyby Wacław wiedział...“

— Do miljona cherubimów i serafimów! zawołał p. Karol. Że też te dziewczęta, ledwie od ziemi odrosną, zaraz zaczynają się kochać! Ten dokument jest jasny naiwny i niewinny, jak tylko być może, i doprowadza mię do rozpaczy. Gdzieś u licha wszystko się kocha, na wszystkie strony! Cóż teraz począć z tym fantem, zwłaszcza gdy sama powiadasz, że ten panicz jakoś nie odwzajemnia uczuć Helenki?

— Przynajmniej, jak sądzę, nie dał jej tego do poznania.

— To jeszcze dosyć dobrze świadczy o nim. Wszak musi wiedzieć, jak znaczny posag będzie miała Helenka?

— Nie wie. Ona sama nie wie o tem, wszak kazałeś ukrywać to przed nią. Ale cóż przeszkadza jej posag?

— Nie lubię młodych ludzi, których afekta serdeczne jakoś tak mimowoli kierują się w stronę większej paczki banknotów. Kto się kocha, powinien się żenić, a kto się żeni, powinien mieć własny kawałek chleba, którym podzieli się z żoną. Chwalę niezmiernie dawny obyczaj niektórych krajów, według którego nie dawano córkom nic, oprócz wyprawy.

— Według twoich zasad, wszystkie posażne panny byłyby skazane na celibat.

— I wyszłyby na tem lepiej, niż na mężach, zwabionych groszem. Bądź co bądź, muszę się wdać w tę sprawę Helenki, i wyjaśnić ją, póki czas.

— Zmiłuj się, ty z pewnością zrobisz coś szorstkiego, niedobrego....

— Pani dobrodziejka raczy uważać swojego męża jako niedźwiedzia z białowiezkiej puszczy. Niech i tak będzie. Mimo to przyznasz, że jeżeli Roliński nie kocha Helenki, tysiąc razy lepiej będzie dla niej samej, jeżeli marzenia jej przerwane będą wcześniej, a na to, najlepszym jest środkiem, aby go przestała widywać.

W tej chwili, wpadło do pokoju kilka młodziutkich panien, po części bardzo trzpiotowatych i wesołych, w towarzystwie młodego człowieka o bardzo statecznej minie, któremu p. Skryptowiczowa nie oddała wcale przesadniej pochwały, nazywając go przystojnym i „do rzeczy“. P. Skryptowicz podał mu rękę i cofnął się do swego pokoju, podczas gdy jego żona zajęła się przygotowaniami do herbaty dla wracających z przechadzki. Helenka poczęła krzątać się koło papierów na swojem biurku, porządkując niby i chowając wszystko do szuflady. W tem, wypadł jej z ręki arkusz, który właśnie jak najpilniej chciała schować. Rzuciła się za nim szybko, ale już Wacław podniósł go z ziemi. Prosiła go usilnie, aby nie oglądał jej „niedorzecznych konceptów“, i drożyła się długo, byłaby postawiła może na swojem, ale córki p. Skryptowicza przyszły w pomoc Wacławowi. P. Skryptowicz przez odchylone drzwi był świadkiem całej sceny, a mając wzrok bystry, bo wywczasowany, mógł widzieć i ów papier, będący przedmiotem sporu. Był to rysunek, przedstawiający małego chłopczyka, niesionego przez aniołów wśród mnóstwa obłoków. Kompozycja nie była ani szczególną, ani oryginalną, i przypominała mnóstwo sentymentalnych niemieckich i francuskich „*Reveries du soir*“ itp. Oryginalnem było to, że pominąwszy czarne wąsiki, chłopczyk niesiony przez aniołów podobnym był jak dwie krople wody do p. Wacława Rolińskiego, podczas gdy jeden z aniołów czy archaniołów, pochylony nad nim twarzą, i zbyt widocznie zdjęty ochotą pocałowania chłopczyka w czoło, dziwnie przypominał profil Helenki. Dziewczę zarumieniło się było i protestowało mocno przeciw podpatrywaniu jej „smarowideł“, p. Wacław zaś miał minę niezmiernie zadumaną i dopiero po chwili przyszedł do siebie z tego mglistego stanu duszy, umotywowanego zresztą widokiem obłoków, na które nie żałowano czarnej i białej kredy.

P, Skryptowicz schował się i nie pokazał się więcej. Co się tyczy innych aktorów tej sceny, mogę zaręczyć, że nigdy bardziej smętny młodzieniec nie badał tajemnic rachunku różniczkowego, jak p. Wacław, wróciwszy z herbaty od państwa Skryptowiczów, i nigdy piękniejsze czarne oczy nie objawiały tak wielkiego roztargnienia, jak oczy Helenki tego wieczora. Ale p. Skryptowicz widział roztargnienie Helenki, a nie widzia smętu p. Wacława, chociaż więc nie był nieludzkim z natury trwał w swojem postanowieniu.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. KAROLA LIBELTA.

(Ciąg dalszy.)

(*Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego; tom II. Nakładem Żupańskiego; Poznań*, *1875*.)

„Styl, krasomówstwo i poezja“, są działami sztuk „mownych.“ Styl jest właściwością pisarza, a nie właściwością pisanego dzieła. Każdy autor wydatny, wyrabia sobie styl właściwy. Znajdować się on powinien i w krasomowie i w poezji i w każdem umiejętnem dziele. Stylu nauczyć się nie można. Można go naśladować, co zawsze będzie złą kopją. Styl jest samodzielnym wyrobem każdego genjalnego pisarza. Dlatego styl nie jest „osobną sztuką“, jak to powiedziano na str. 500. Co tu w końcu autor o teatrze nadmienia, jako o panteonie artystyki, możeby więcej stosowało się do nowożytnych wystaw sztuk pięknych, niżeli do teatru, z którym łączymy wido-

wiska szczegółowe i pojedynkowe, a nie zbiory widowisk ogólnego charakteru.

Mimo tych usterek podziałowych, — pochodzących jedynie z braku sztuk społecznych, pięknem jest opracowanie każdego pojedynczego działu estetycznego i pełnem świetnych pomysłów, na które zwracamy uwagę czytelnika.

„Kallizofja“ poucza o rozmaitych gatunkach piękności. Jako w humanistyce socjalistyka była „nauczaniem“, polityka „działaniem“, historja „opowiadaniem“; tak i formy piękne tych trzech działów rozkładają się na „dydaktykę, dramat i epopeę.“

Dotąd uważano dydaktykę jaka „apoteozę nauki“, a więc ograniczano ją na rzeczywiste nauczanie, w formie pięknej przedstawione, czyli na taką dydaktykę, jaką kallizoficzny powiat naukowy (str. 562 i następne) nakreśla. Trentowski rozciąga ją daleko obszerniej i podaje nam aż dziewięć dydaktycznych powiatów. Są zapewne pewne działy, w których więcej teorja, a więc „nauka“, niżeli praktyka, to jest „czyn“ i „działanie“ przemaga. Atoli granice są tu nader trudne do podchwycenia, dlatego, że z każdej części estetyki wytryska nauka. Nie sąż szkołą obyczajową i społeczną dramata? Nie czerpiemyż z epopei, nie tylko nauki piękna, ale i wszystkich owoczesnych stosunków, na których przedmiot wiersza bohaterskiego osnowany? — Wszakże zajrzyjmy do tych dziewięciu powiatów.

Pierwszą ich trójkę stanowi 1) apoteoza „boskości“, czyli piękno chrześcijańsko-niebiańskie; 2) apoteoza „mitologiczna“, czyli potęg tego świata, jakie np. bogowie Olimpu przedstawiają; 3) apoteoza „natury.“ Bóg który świat stworzył był także artystą. Umieć zdjąć te piękności boskie tutecznego świata, a odsłonić w każdej z nich wiekuistą myśl Bożą, to zadaniem sztukmistrza apoteozującego naturę. Antropomorfizm stał się koniecznym, do pięknego ukształtowania wszelkiej duchowności. Bo jakże ducha, siłę, mądrość ukształtować, jeżeli nie w symboliczną postać człowieka? Wszelako chrześcijanizm ubiera w długie suknie postacie swoich świętych, jako pochodzące z niewidomego świata, sztuka starożytna, obrazuje bogów swoich nago, bo to są istoty z ludzkiemi własnościami. — Sztuki tego powiatu przedstawiają wprawdzie to czego nas teologja, teozofja i fizyka poucza, wczas one antropomorfizmem naznaczyły „osobowość“ ducha, wszelako jest to dydaktyzm tego samego rodzaju, jaki się i z dramatyczności i z epiczności wykluwa, i na miano osobnego dydaktyzmu nie zasługuje.

Autor policza w ten powiat jeszcze „sielankę“, odsłaniającą wiejskie piękności ducha; „bajkę“, nadającą ku nauce naszej umysł i głos ludzki, zwierzętom i tworom nieżywotnym; „klechdę“ wynajdującą z tamtego świata urojone postaci sylfów, gnomów, olbrzymów i karłów. Związek tych postaci lirycznych, alegorycznych i mitycznych z trójką naczelną bardzo naciągany. Lepiejby się była nadała druga trójka dydaktyczna z „liryczności, alegorji i mistyki“ złożona.

Następna trójka dydaktyczna składa się z „fantazji, liryczności i polityki.“ — Fantazyjny polot to idealność, spekulacja. Są tu piękności czysto duchowe, świat urojeń, wysnuty *a priori*. Kraina to sfinksów, feniksów, gryfów, alegorycznych personifikacyj krain, rzek, zgoła uobrazowanie piękne duchowego świata. Dydaktyczność fantazyjnych sztuk w tym ma leżeć „że idea upostaciowana jest zagadką, którą zadaje sztukmistrz, a odgaduje widz lub słuchacz.“ — Liryczność wkracza w społeczeńskie stosunki. Jest to sztuka socjalna. Gani to, co jest, a wskazuje, jak być powinno. „Dityramb, oda, hymn lub panegiryk“, są na szczycie liryczności. „Pieśń, anakreontyki, erotyki“ opiewają radość i szczęście. Na przeciwnej stronie stoją „elegja, satyra, trawestja“, z podrzędnymi ich oddziałami. Zamykają liryczność „legendy i ballady.“ — Polityka nareszcie wkracza w samą teraźniejszość i odsłania pięknym artyzmem wizerunki polityczne. Mamy nietylko poezję i wymowę poetyczną, ale i muzykę, malarstwo i architekturę polityczną.

Ostatnia trójka dydaktyczna jest apoteozą „prawdy.“ Apoteozę przeszłości daje nam powiat „historyczny“, apoteozę moralności powiat „etyczny“; apoteozę rzeczy naukowych rozświeca nam powiat naukowy. Jużeśmy poprzednio nadmienili, że w tym ostatnim powiecie mieści się rzeczywista dydaktyczność.

Jeżeli dydaktyka była „szkołą“, to dramatyczność jest „działaniem, akcją.“ Ztąd sztuka piękna rozpada się tu na dwie połowy: na „autora i na aktora.“ Dramatyczność rozpada się na „komikę, tragikę i na dramata“ w ściślejszym znaczeniu. — Komiczność rodzi się z tego, co przysłowie *parturiunt montes et nascitur ridiculus mus* tak trafnie wyraża, gdy coś poważnego przeistacza się nagle w coś lekkiego, wesołego. Jeżeli niema tego kontrastu, ale silny charakter stacza bój z przeciwnościami i ulega albo zwycięża, otrzymujemy tragedją. Wielekroć nie chodzi ani o komiczność, ani o tragiczność, ale o mistrzowskie charakteru pewnego odmalowanie, w takim razie otrzymamy charakterystykę dramatyczną, czyli dramat właściwy. (D. n.)

Kilka słów o dzisiejszej powieści niemieckiej

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Jest rzeczą dziwną, a może i niedziwną wcale, jak dziś, z nader małemi wyjątkami, cała niemal beletrystyka niemiecka w jednym i tym samym biegnie kierunku i w jeden dysharmonijny łączy się rożdźwięk. Autorowie dzisiejszych romansów w Niemczech, wprowadzają tendencyjnie Polaków na scenę, ażeby nas jak najgorzej przedstawić. Stosują się do prądu z góry, by niedogodny żywioł polski pognębić i zbeszcześcić, odmawiając nam nawet — nawet zaszczytnej przeszłości — nawet, a nawet, szlachetnego narodowego uczucia, prawdziwej miłości kraju, tak przeobficie krwią ofiarną oblanej...! — Pojmujemy więcej to służalstwo w dziennikach, bo tak zwykle bywa; piśmiennictwo wszelako piękne, poezja, wszakżesz wyzwolone z lokajstwa być winno. A zkądżeż pochodzi w ogóle ta nienawiść Niemców ku żywiołowi polskiemu? Chyba je tłumaczy włoskie a tak prawdziwe przysłowie: *chi offende non perdona*. Bo łacniej przebaczy pokrzywdzony krzywdzicielowi, aniżeli krzywdziciel pokrzywdzonemu, gdy mu sumienie zwłaszcza srogą wyrzuca niecnotę.

Oczernienie zatem polonizmu i katolicyzmu zarazem, jest dziś prawdziwym *cheval de bataille* w tych utworach, dążności naciąganych gwałtem a ztąd pozbawionych dobrego smaku i artyzmu. Tendencja ta stała się może hasłem bezmyślnem niekiedy, żądzą przypochlebienia się, a przedewszystkiem wodą.

Nie myślimy tu stawać w obronie kalanej narodowości naszej, ani też w obronie katolicyzmu bo tu miejsce nie po temu, ale chcemy choć w maleńkiej cząstce wykazać smak zepsutej dzisiejszej powieści w Niemczech.

Mieliśmy niedawno w ręku, wzięty na chybi trafi, romans *Krieg und Frieden*, Gustawa vom See (*Vom Struensee*). Występują i tam Polacy bez czci, *comme de raison*, obok nieświadomości zwyczajów i obyczajów polskich, *à la Freytag*, którego talent nieposledni przez nienawiść ku nam, o ten probierczy potrąca się kamień. W powyższej powieści, jakiś Polak, urwis, zajeżdża przede dwór niemieckiego barona (pewnie w Szlązku) *in einer „polnischen Kibitka“* (?!). Dalej występuje młody książe Gorazow, dziedzic księztwa Gorazow w Galicji, oczywiście ladaco wielkie. Książe ma plenipotenta, który mieszka w Warszawie, boć dla autora, Warszawa i Galicja i to niemal jedno. Obadwaj są wszetecznikami, fałszerzami, złodziejami i mordercami. Czytaliśmy tam i niby, dowcip że w Polsce wałęsają się hrabiowie i książęta setkami, którzy we wielkim zbytku posiadają... długi.

Spotykamy się w tych romansach i nader często z księżmi katolickiemi, a wszyscy są rozpustnicy, fałszerze i mordercy. Jak np. ów *Hafprediger* w powieści pani Marlitt *Die zweite Frau* która to powieść *nawet* na język polski przełożoną została. W niej także występuje i Polka, krwi krakowsko-polskiej, a lekkomyślnica jakich mało.

Cóż wreszcie powiedzieć o powieściach galicyjskich p. Sacher Mazoch, który, jako urzędnik policji fungował nie tak dawno we Lwowie.

Są wszakże i znani pisarze niemieccy, którzy dotąd jeszcze przeciwko nam nie zgrzeszyli, i do tych należy: Auerbach, Gutzkow, Wachenhusen, Samarów itp.

Głośną, bardzo głośną była niedawno powieść Auerbacha w Niemczech: *Waldfried*. Goniono za nią, wyrywano ją sobie. W tej powieści, która jest jakby pamiętnikiem, pisanym przez starego Waldfrieda, ojca licznej rodziny, określone są nasamprzód wypadki z r. 1848, lecz pobieżnie tylko. Syn starszy Waldfrieda należał do nich, a wydobyty przez ojca z więzienia, do Ameryki uchodzi. Syn drugi nie chciał w r. 1866 do bratobójczej należyć walki, dezerterował z wojska, i uszedł do Algieru. Pierwszy powraca z Ameryki przed wojną francuską, z żoną i synem 18letnim, nieochrzczonym jeszcze i bezwyznianiowym, z czego chlubi się ojciec. Następuje wojna francuska, a wreszcie szczęście ogólne, i ubóstwienie ks. Bismarcka. Syn młodszy Waldfrieda wrócił także z Algieru z Turkosami, przeszedł do wojska niemieckiego i poległ. Otóż i treść główna. Wchodzą tam jeszcze i różne osoby, rożne polityzowania. Stary Waldfried człek poczciwy, umiera w końcu. Opowiadanie jest nieco miękkie. Rzecz może zająć interesowanych. Nas wszelako bynajmniej. Mówił mi nawet jeden z wykształconych Niemców, że zaledwo stronnic kilkadziesiąt przeczytać potrafił.

Pan Gregor Samarow (von Meding) dużo już romansów politycznych z dziejów dzisiejszych w świat wypuścił. Talent to niezaprzeczenie spostrzegawczy, a obeznany i wtajemniczony po różnych drogach, dróżynach, ścieżkach i manowcach dyplomacji europejskiej, przez lat wiele — eksploatuje tę swoją wiedzę w szeregu romansów

nie bez zajęcia czytanych. Szanowny ten autor niezawodnie dobre i poczciwe posiada serce, bo wszystkie wprowadzone postacie z dodatniej przedstawia strony. Wtajemnicza nas w najpoufniejsze rozmowy cesarza Napoleona z małżonką swoją, z ministrami itp.; cesarza Wilhelma, cesarza Franciszka Józefa, cesarza Aleksandra, króla hanowerskiego i innych monarchów, księcia Bismarka, Drouyn de L'huys, Thiers'a, Beust'a, Rechberg'a, Palmerston'a, itd. — Nawet i ich monologi są nam wiadome.

Chcemy tu szczególniej o jednym z tych polityczno-romantycznych mówić utworów: *Die Römerfahrt der Epigonen* — w którym Polak jest bohatyrem i znajduje się parę epizodów z powstania r. 1863.

Jest tam i dość zajmujący opis zjazdu monarchów w Frankfurcie r. 1863, wezwanych przez cesarza Franciszka Józefa, by uradzili reformę *Bundestag'u*, od którego jednak uchylił się zaproszony po dwa razy król Wilhelm pruski.

Nie będziemy się w tamtę politykę wdawali, lecz przytoczymy dość dziwne zdarzenie, które autor opisuje dokładnie. Zapowiedziano ognie sztuczne wspaniałe na lewym brzegu Menu. Wszystko tam podążyło. Wille nadbrzeżne były przepełnione. Brzeg rzeki nieprzejrzane zaległy tłumy. Po Menie pływały barwne gondole i czółna. Pierwsze wzleciały rakiety. Ogromny snop promienisty zajaśniał na nocnem niebie. Różnokolorowe ognie bengalskie, rozwidniały uroczo, rysujące się na ciemnem przestworzu miasta. Wznosiły się słońca, syczące szmermele, kule ogniste — i miała ukazać się olbrzymia postać Germanji, w niewidzianym dotąd przepychu ubrylantowanym, z podniesionym w prawicy mieczem, a z sztandarem zwycięztw w ręce lewej... Gdy nagle, kule pospadały ogniste, słońca pogasły — a cały obszar czarne cienie nocy spowiły. Oczekiwano z zapartym oddechem obrazu płomiennego odrodzonych Niemiec.

...Wtem smug wązki, ognisty wystrzelił, po nim drugi — i trzask piorunu przeraził wszystkich. Przez mgnienie oka ukazał się miecz płomienny na niebie. Potem nastąpił, jakby wybuch krateru — góry ogniem ziejące — i wszystko, jakby czarem, w noc czarną zapadło.

Okrzyk trwogi i zgrozy dalekiem uniósł się echem. Fajerwerk brylantowy straszliwe zrobił fjasko — nie wiedzieć z jakiego powodu. Giermanja nie zjawiła się i miejsce jej zajął chaos krwawo-czerwonych na niebie płomieni.

Tłumy w milczeniu ponurem pod najprzykrzejszem do domów wróciły wrażeniem.

Pan Samarow wprowadza powstanie polskie z r. 1863 na scenę — bez ubliżenia jednem słowem polskości i polskiemu uczuciu, potrzeba mu oddać tę sprawiedliwość, zwłaszcza gdy inni zarzucają nas kamieniami i błotem. Szanowny autor grzeszy tylko mimowolnie nieświadomością rzeczy i uczuć naszych narodowych, przekonań, dążeń, celów, idei, obyczajów, a nawet i jeografji. Rządzi nim także myśl najmylniejsza, najfałszywsza, Bóg wie zkąd przybłąkana: że to Rzym popycha Polaków bezprzestannie do agitacji politycznej, że Rzym powstanie z r. 1863 wywołał — i że patrjotyczni Polacy, którzy z wiarą i poświęceniem walczą o wolność ojczyzny swojej, są jedynie narzędziami Rzymu: pędzeni na śmierć przez niesytą żądzę wszechwładnego panowania papieża! — Jest-to prawdziwe horrendum fikcji najwierutniejszej, lecz aklimatyzującej się z łatwością na glebie zapatrywań zbyt dziwacznych, wymuszonych ....chorobliwie i tendencyjnie skrzywionych. Ogół niemiecki nie ma najmniejszego pojęcia o historji naszej, nie zna poczucia narodowej idei polskiej, miłości dla kraju i braci; pragnienia wolności i niepodległości tej najdroższej, świętej po ojcach spuścizny. Nie rozumie tych poświęceń i ofiar bez przykładu—to i jakżeż go tego pouczyć? — Praca nadaremna! Niemasz tam gruntu, na którym takie wzeszłoby ziarno. Ogół zna z artykułów dziennikarskich, jedynie położenie nasze, a przeszłość z romansów. Dawniej — ongi — czytająca publiczność niemiecka egzaltowała się nad romansami z historji polskiej Aleksandra Bronikowskiego, który je pisał w języku niemieckim. Dziś zaś czerpie wiedzę swoją z romansów Freytag'a *et consortes* jak Sacher Masoch, Gustaw vom See itp.

W powieści pana Samarowa, czytamy o szczerem współczuciu cesarza Napoleona dla powstania polskiego, Palmerston'a i innych dyplomatów; czytamy o żalu cesarza Aleksandra, który nawet łzy roni nad nieszczęśliwymi Polakami, czytamy i rozmowę jego z arcybiskupem Felińskim, w której postać tego ostatniego zarysowaną jest z godnością, bo pozostaje nieugięty mimo całej dobroci cesarza. Poczem cesarz narzeka na jego okrutną *Hartnäckigkeit*. (D. n.)

POGADANKI.

XIV.

Ktokolwiek umie słuchać dobrej rady, niechaj zważa na słowa moje, i niechaj się zaopatrzy w opał na tak długo, jak długo żyć zamierza, albowiem jasną już jest rzeczą i łudzić się w tej mierze nie podobna, że obecna zima nie skończy się nigdy. Nawet pani de Cepeda hiszpańskiem ciepłem swojego śpiewu zdołała podnieść temperaturę ledwie o parę stopni. Coś podobnego działo się, o ile pamiętam, w r. 1864 — mieliśmy wówczas na Podolu sannę na Wielkanoc, a śnieg na *Prima Aprilis*, ale to było podczas stanu oblężenia, a kiedy człowiek siedzi w kozie, mało mu zależy na pogodzie. Zresztą, śniegi i mrozy nie były ani tak wielkie, ani tak nieustające jak tego roku. Swoją drogą jest to ciekawy fenomen, jak prędko zapomina się tego rodzaju nieporządki w naturze. W r. 1842 i 1863 równie jak w r. 1873 nie było prawie zimy, a natomiast w latach 1845 i 1852 w sam pierwszy dzień maja mieliśmy mróz „trzaskący." Powtarza się to bardzo często, a każdym razem daje się słyszeć skarga, że „najstarsi ludzie" nie pamiętają czegoś podobnego. Słuszną zrobił ktoś uwagę, że ci najstarsi ludzie zdają się posiadać nader krótką pamięć. Zapomnieli oni już zapewne, że w r. 1865 mieliśmy mróz na samo Boże Ciało, poczem nastąpił nieurodzaj wraz z komisjami głodowemi i fruktyfikacją pożyczki głodowej w bankach wiedeńskich. Spodziewam się, że podobne katastrofy elementarne nie powtórzą się tego roku, jakkolwiek pogoda znowu zadaje kłam kalendarzom, a nawet najprawdomowniejszemu z nich, kalendarzowi „Szczutka," zbratanemu z „Haliczaninem" Pillera. Przepowiadał on do dnia 27. marca dnie zimne ale pogodne, poczem posępno i deszcz, pomylił się więc tylko o tyle, że mamy powietrze posępne i śnieg.

* * *

Było to dla mnie i jest dotychczas zagadką, kto dla kalendarzy lwowskich układa część astronomiczną i kościelną, a jakkolwiek sam już byłem współpracownikiem dwóch wydawnictw kalendarzowych, nie udało mi się zbadać tej tajemnicy. Tyle wszelako zbadałem, że błąd w jednym z nich popełniony, powtarza się we wszystkich. I tak np. istnieje przepis kościelny, w moc którego święto Zwiastowania N. P. M. przypadające 25. marca, jeżeli się zejdzie z Wielkim Tygodniem, przeniesionem być ma na pierwszą niedzielę w kwietniu. Otóż, nietylko świeckie kalendarze tutejsze zapomniały o tym przepisie, ale nawet wydany przez wikarego archikatedry lwowskiej kalendarz „Chaty" oznaczył dzień 25. marca czerwono jako uroczyste święto. Dzięki tej okoliczności, Lwów świątkował sobie 25. zm. w najlepsze, i nie uniknęliśmy przepisanej liczby rocznych 14 świąt łacińskich oprócz 21 unickich, i 52 niedziel, co wynosi razem 87 dni bezrobocia, do których należy doliczyć 52 szabasów i 14 świąt uroczystych żydowskich jako dnie, przeznaczone na odpoczynek od pracy we wschodniej części Galicji, i nadzwyczaj sumiennie w myśl tego przeznaczenia swojego, obserwowane. Pominąwszy miejscowe odpusty, wesela, imieniny, urodziny itd. mamy razem 153 dni odpoczynku a 212 dni pracy, z czego wynika, że z pewnością na śmierć się nie zapracujemy. Gdyby to przynajmniej tyczyło się pracy umysłowej, która w istocie po spoczynku idzie raźniej i żywiej, i nie znosząc codziennego natężenia, wynagradza później w dwójnasób czas zaniedbany! Otóż właśnie najmniej świątkują pracownicy tego rodzaju, urzędnicy, nauczyciele, pisarze, artyści itd. Przez trzecią część roku spoczywa tylko praca fizyczna, która godziny zaniedbane uważać może jako bezpowrotnie stracone. Rolnictwo, przemysł, handel, ruch komunikacyjny odpowiadają za to, i kraj ubożeje dobrowolnie. Nie darmo zaliczono tutaj święta żydowskie — żydzi nie tylko bowiem sami je obserwują, ale każą także świątkować kroćiom robotników, których zatrudniają. Potrzebaż jeszcze, ażeby przez niedokładność kalendarza pomnażała się ta kolosalna liczba dni świątecznych! Wywołało to oburzenie nawet w prawowiernym Krakowie, że Lwów wymyślił sobie jakieś święto, którego nie było. Sklepy i banki były zamknięte, dzienniki polityczne nie wyszły, a gdyby były chciały wyjść, drukarnie kazałyby im były zapłacić sobie wyższą cenę za robotę „w dzień świąteczny."

* * *

Nadużyciom tego rodzaju, ze względu na wynikające z nich złe skutki ekonomiczne, położony kiedyś będzie niezawodnie koniec w drodze prawodawczej, przez zniesienie najpierw dwojakiego kalendarza. Mówią także o przeniesieniu niektórych świąt na niedziele. W tym kierunku atoli dobrzeby było nie iść zbyt daleko. Dość będzie, jeżeli przez zniesienie świąt unickich i kilku łacińskich przybędzie nam cały miesiąc roboczy. Natomiast, jeżeli dzieciom dajemy dłuższe wakacje, nie żałujmy ich i sobie. Jedno z świąt, przypadających w zimie, a jedno w lecie, mogłoby trwać trzy i cztery dni jednym ciągiem, ażeby ten i ów mógł wytchnąć na dobre, odwiedzić rodzinę, odetchnąć świeżem powietrzem. Dwa dni Wielkiejnocy albo Zielonych świątek nie wystarczają na to, a prawdę mówiąc, nasza tradycyjna, polska Wielkanoc bynajmniej nie jest odpoczynkiem, ale

ciężką raczej pańszczyzną. Dla młodych tylko ma ona swoje powaby, dla starych zaś chyba o tyle, o ile cieszy ich widok radości młodszego pokolenia. W gruncie rzeczy, jest to dla wszystkich obchód niezmiernie nużący.

Czy nie dałoby się, nie tykając tradycji i patryarchalnego obyczaju, zaprowadzić pewną reformę pod względem „święconego?" Gdyby je np. urządzano na wzór pikników, tj. gdyby rodziny zostające z sobą w zażyłości stowarzyszały się, i gdyby w jednym wspólnym lokalu składały *pro communi bono* każda pewną ilość szynek, kiełbas, prosiąt, jaj, bab, placków i butelek wina? Następnie, o umówionej porze, schodzonoby się, przyjmowanoby wspólnych gości, i rozchodzonoby się do domów, a nie tak jak teraz, gdzie cała Polska przez dwa dni od rana do wieczora je „drugie śniadanie" złożone z wędlin i innych zimnych potraw wraz z kilkunastoma różnemi a niezgodnemi z sobą gatunkami wina. Rzucam myśl „stowarzyszeń wielkanocnych," i jeżeli się ona przyjmie, proszę, by obok baranków z masła i prosiąt z barwinkiem, postawiony mi był — pomnik z marcypana.

Jan Lam.

Z NATURY.

Djament.

(Dokończenie.)

„Szach" jest także perskim djamentem. Połysk jego jest niesłychany, chociaż niezupełnie został wygładzony, waży 86 karatów, a powierzchnie jego są perskiemi pokryte napisami. Syn Abbasa Mirży darował go cesarzowi rosyjskiemu.

„Rejent" jest najwspanialszym brylantem w skarbcu francuskim, waży $136\frac{3}{4}$ karata i jest najczystszej wody. Pierwotna jego waga wynosiła 410 karatów; przez dwa lata szlifowano go wytrwale, co kosztowało 27.000 talarów, ale za to same odpadki były warte 50.000 talarów. Kamień ten pochodzi z Golkondy w Indjach Wschodnich, gdzie go przypadkiem znalazł pewien niewolnik w r. 1702. Poznawszy się na jego wartości, zrobił sobie na ciele wielką ranę, w której go ukrył. Nieroztropny wyjawił swoją tajemnicę przed pewnym majtkiem, który kamień od niego wyłudził, a nieszczęśliwego niewolnika do morza rzucił. Majtek sprzedał go za 1000 funtów, a straciwszy pieniądze, powiesił się z rozpaczy. Djament poszedł w ręce indyjskiego kupca Jamechunda, który go znowu sprzedał angielskiemu namiestnikowi panu Pitt, za 312500 franków. Zaledwie dowiedziano się w Europie o istnieniu tak cennego klejnotu, a zaraz zaczęto się dowiadywać u właściciela o jego możliwą cenę. Nareszcie książę Orleanu nabył go w r. 1717 dla Ludwika XV za przyzwoitą sumę 3.375.000. franków. Komisja złotników, która w r. 1791 zajmowała się oszacowaniem klejnotów francuskiej korony, oceniła ten kamień na 12.000.000 franków. Dnia 17 Września następnego roku, podczas panującego teroryzmu, skradziono go nagle wraz z wszystkiemi innemi klejnotami. Nadaremne były poszukiwania policji i w ten sposób ukryła się największa kradzież jaką kiedykolwiek popełniono. Nareszcie list bezimienny doniósł władzy, że drogi kamień znajduje się ukryty w pewnem miejscu na polach Elizejskich, gdzie go też znaleziono. Brakiem pieniędzy zmuszona, Republika francuska zastawiła go w Berlinie u pewnego kupca, ale Francja wykupiła go napowrót, i Napoleon I nosił go na rękojeści swojej szpady. W bitwie pod Waterloo omało nie wpadł on w ręce prusakom. Francja ma go do dziś dnia.

„Sancy" ma kształt gruszki, waży $53\frac{1}{2}$ karata, a wartość jego wynosi 1.000.000 franków. W XV wieku dostał on się do Europy i przeszedł na własność Karola Burgundzkiego, który go miał przy sobie, w nieszczęśliwej bitwie pod Nancy w r. 1477. Jeden żołnierz szwajcarski odzierając zwłoki księcia, wziął go i sprzedał za drobnostkę. Przechodząc z rąk do rąk, dostał się nareszcie do hr. Mikołaja Sancy. Gdy hrabia, będąc posłem w Szwajcarji dowiedział się o kłopotach pieniężnych swego króla Henryka III, posłał mu swój klejnot przez umyślnego człowieka z Soloturny. O fakcie tym prędko się dowiedziano i posłańca zamordowano w górach Jura. Djamet znaleziono w jego żołądku. Następnie klejnot ten dostał się do skarbca francuskiego, i wraz z „Rejentem" niewiadomy sprawca skradł go 17 Września r. 1792. „Rejent" znalazł się ale „Sancy" przepadł bez wieści. Nagle pod Napoleonidami pojawił się i został przez nich sprzedany za pół miljona franków moskiewskiemu księciu Demidow. Obecnie posiada go pani Karamzyn, której przypadł w spuściźnie.

„Fiorentino" waży 139 i $\frac{1}{2}$ kar. ale co do koloru jest cytrynowo-żółty. I on był niegdyś własnością Karola Burgundzkiego, który go stracił w bitwie pod Grandson. Szwajcar znalazł klejnot w hełmie księcia, i sprzedał go za talara pewnemu księdzu. Po rozmaitych kolejach nabył go wreszcie papież Juljusz II za 20000 dukatów. Teraz znajduje się ten klejnot w skarbcu Cesarza Austrjackiego, a wartość jego oceniają na 700.000 talarów.

„Gwiazda południowa" djament znaleziony w r. 1853, w prowincji Minas Geraes, ważył pierwotnie 245 kar. dziś cięty w formie brylantu, waży tylko 125 kar. i jest własnością niejakiego pana Halphen. Cenią go na dwa miljony franków.

Sultan turecki posiada dwa djamenty, z których jeden waży 84 a drugi 147 kar. bliższe jednak szczegóły są o nich nieznane. Częściej zdarzają się djamenty od 49 do 50 karatów, tak np. „Gwiazda północy" (40 kar.) w skarbcu rossyjskim, djament w skarbcu Drezdeńskim ($48\frac{1}{2}$) kar. i wiele innych.

Szacowanie djamentów jest trudne a często nawet dowolne, zawisło ono głównie, chociaż niewyłącznie od wielkości, ognia i czystości kamienia. Surowy djament jest trudny do ocenienia, ponieważ dopiero sztuczne cięcie przekonywa jaki może być jego ogień. W przecięciu doskonale szlifowany brylant wagi 1go karata i najczystszej wody, cenią na 80 talarów. Przy wielkich djamentach cena wzmaga się szybko z wielkością.

Djament był dłuższy czas tylko zabawką nader kosztowną dla swej rzadkości, ale nie przedmiotem oddającym człowiekowi jakąkolwiek usługę W ostatnich dopiero czasach użył go francuz Lec ot do wiercenia skał w tunelu Mon-Cenis, a osiągnięte rezultaty były zastanawiające. Rzecz szczególna że już Hebrejczycy odgadli w nim tę własność gdyż go nazywali „Jachalom" tj. „Świder".

POLEMIKA.

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej" do badań i pomysłów p. dr. Antoniego Małeckiego.— Rzecz we własnej obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Pospieszam dalej. O następującej epoce pisze recenzent dra Nehringa między innemi, co następuje: „Dwa wielkie wypadki dziejowe, półwiekiem od siebie oddzielone, żadnego bezpośredniego nie mające ze sobą związku, złożyły się na to, aby w umysłowem życiu Europy XVI wieku stanowcze wywołać zmiany: zdobycie Konstantynopola przez Turków i reformacja. Pierwszy przyczynił się pośrednio do obznajomienia zachodniej Europy z arcydziełami klasycznej literatury Rzymian i Greków, drugi zatrząsł dogmatami, wyzwolił ludzkość z kajdan duchowej wszechwładzy, odebrał księżom monopol nauczania (?), i wywołał w umysłach powątpiewanie, które jest matką badań i dochodzeń rodzicieli postępu. Z Włoch rozszerzyła się znajomość klasycznej literatury w całej w cywilizowanej Europie. Rozpoczęło się w piśmiennictwie europejskiem panowanie wszechwładne plastycznych, okrągłych form klasycznych i wyzwolonego ducha, który poczuwszy, że opadają rdzą wieków przegryzione kajdany, zakipiał zuchwałością wyzywającą do walki niebo i piekło. Wspaniała walka nowożytnych Tytanów w jednej części, w części że tak powiem formalnej, rozstrzyga się prędko i stanowczo „klasycyzm odziewa w swe odwieczne posągowe kształty całe piśmiennictwo piękne już w XVI stuleciu; ale w drugiej części przechodzi ona w różne fazy, przycicha i wybucha znowu gwałtowniej, przeciągając się aż do dni dzisiejszych." Polska nie pozostaje obcą tym nowym prądom, lecz owszem poddaje się im zupełnie. Reformacja i klasycyzm znajdują tu przygotowane dla siebie pole, korzystniejsze niż w wielu innych krajach warunki. Tolerancja religijna, niezawisłość narodu szlacheckiego od tronu, wyzwolenie się już od stu lat ze służalczego poddaństwa powagom rządowym i kościelnym ułatwiają nowym ideom na wszystkich punktach zwycięstwo i „stwarzają wspaniałą nową epokę w literaturze naszej, której cechą zewnętrzną forma klasyczna a wewnętrzną krzepki duch narodowy," wynikająca z poczucia siły moralnej śmiałość, wolność religijna i polityczna."

Epoka druga literatury naszej scharakteryzowena jest tedy w przytoczonych słowach bardzo dobitnie jako „klasyczna" i powiedziano o niej wyraźnie, wprawdzie bez podania daty, że przeciąga się prawie aż do „dni naszych." Charakterystyka pierwszego okresu tej epoki jest również stanowcza i taka, jaką upatruje p. dr. A. Małecki i jaką za nim i za innymi podałem w uwagach moich do okresu Zygmuntowskiego.

O następującym drugim okresie tej klasycznej epoki podaje recenzent dra Nehringa takie znamiona: „Uleciał — mówi — duch postępu i niezawisłości, który ożywiał klasyczne utwory XVI wieku, zaginęła owa jędrna treść prawdy i szczerej otwartości, podnosząca ich wartość, została tylko pusta forma." Fałsz w życiu wprowadził fałsz w literaturę. Brak treści starano się zastąpić coraz wyszukańszą formą, coraz dziwniejszą: okłamywano się nawzajem frazesami szumnemi a beztreściowemi, i brnąc coraz głębiej w gmatwaninie słów bez myśli, stworzono wreszcie potworny „makaronizm", który stał się główną cechą literatury i zdjąwszy z niej poważną togę rzymską, ubrał ją w arlekińską suknię krzykliwych „panegiryków."

Charakterystyczne znamię tego drugiego okresu epoki klasycznej wyjaśnione jest więc także dokładnie, i jak je chce mienić p. dr. A. Małecki i inni, nazwane jest „makaronicznem i panegirycznem."

O ostnim okresie epoki klasycznej pisze recenzent dra Nehringa: „Nazwanie okresu Stanisławowskim jest równie niedorzeczne, jak widoczne jest także nazwanie dwóch pierwszych „Piastowskim i Jagiellońskim." Nowy wzrot w literaturze naszej, naśladownictwo francuszczyzny, nie rozpoczęło się dopiero od Stanisława, ani przez Stanisława jedynie, „jak również z panowaniem tego króla się nie skończyło. Słuszniejszem a nierównie ściślej rzecz określającem byłoby nazwanie tego okresu okresem „przewagi klasycyzmu francuskiego, albo trafniej jeszcze podług dra Małeckiego, pseudo-klasycyzmu francuskiego."

Zdaje mi się, że ani charakterystyki, ani też nazwy tego ostatniego okresu epoki klasycznej nie potrzebuję po tem, co przytoczyłem, bliżej wyjaśniać; dodaję tylko, że nazwę okresu „pseudo-klasyczny" umieściłem w nawiasie, a jako ważniejszą podałem: „okres Stanisławowski i X. Warszawskiego." Czy miałem słuszność, lub czy się pomyliłem, tego nie mogę teraz na tem miejscu wyjaśniać, bo to w obronie mojej do rzeczy nie należy.

O najnowszej epoce literatury naszej, poczynającej się od Brodzińskiego i Mickiewicza, powiada recenzent dra Nehringa: „Dr. Nehring podaje jako główne znamię tej epoki „romantyzm." Nie możemy wszakże nie zauważać, że jest to tylko jeden rys z wyrazu oblicza literatury naszej 19 wieku, który uzupełnia się, potęguje i wiąże w całość z drugim, a tym jest „krytyczność." Dla tego zdawałoby nam się o wiele stosowniejszem nazwanie tego okresu nie okresem Mickiewicza, lecz raczej epoką „romantyzmu i krytyczności," czyli dokładniej mówiąc, romantyzmu w poezyi, w literaturze pięknej w ogóle, krytyczności w naukach."

A o istocie romantyczności tak pisze: „Z książki dra Nehringa nie dowie się uczeń tego, że źródłem romantycznej poezyi są bardzo odległe czasy; że w nowożytnej chrześćjańskiej Europie „romantyzm jest starszym niż klasycyzm; że rozkwitająca w XIX wieku poezya romantyczna była niejako tylko powrotem do pierwotnego źródła: że za pierwsze utwory należycie pojętego i zrozumianego romantyzmu należy

uważać stare ballady szkockie, romanse hiszpańskie, minnelieder niemieckie i całe pieśniarstwo truwerów, trubadurów, bardów i minnesaengerów wieków średnich."

Rozróżnia zatem, jak widzimy, recenzent dra Nehringa w paśmie dziejów literatury naszej także dokładnie trzecią epokę w przeciwstawieniu do dwóch pierwszych, scholastycznej i klasycznej. Tę ostatnią epokę nazywa „romantyczno-krytyczną"; czy zupełnie w myśl p. dra A. Małeckiego i czy zupełnie właściwie, tego tutaj obecnie wyjaśniać nie zamierzam. Przypominam tylko, że w „Zarysie" moim przyjąłem, ile mi się zdaje, także za p. dr. A. Małeckim, nazwę „epopa narodowa," a w nawiasie dopiero podałem: „epoka romantyczna". Na pierwszą nazwę uderzyły swego czasu (w r. 1868) siarczyste gromy fejletonisty „Czasu" a za nim także recenzenta „Nowin"; zdawały się one nietylko mnie dosięgać, ale trafiać również w źródło, z którego zaczerpnąłem.

Nie o to tu wszakże chodzi, ale o co innego. Chciałem przekonać czytelników niniejszej obrony mojej, że przyjęty w moim „Zarysie" podział dziejów literatury naszej na epoki i okresy bardzo wyraźnie i stanowczo określony i wyjaśniony jest w przytoczonej rocenzji „Kursu literatury" dra Nehringa. Czy cel mój osiągnięty, niech orzeknie o tem światły sąd znawców. Obok ustępów z powołanej recenzji nie przytaczam tu nigdzie odnośnych miejsc z mojego „Zarysu", raz dla tego, ażeby nie rozszerzać niepotrzebnie niniejszej rozprawy, a powtóre czynię to także w tem przypuszczeniu, że treść mojej książki, której przeszło dwa tysiące egzemplarzów znajduje się już w rękach publiczności, interesowanym nadto dobrze znaną być musi.

Reasumuję się.

Jeżeli więc główne zasady podziału p. dra A. Małeckiego na epoki i okresy już w r. 1867 w „Dzienniku literackim" do powszechnej czytających wiadomości podane zostały;

jeżeli wspominany recenzent od dra Nehringa wymagał wówczas opracowania i zestawienia dziejów piśmiennictwa naszego właśnie w myśl wyłuszczonego podziału na epoki i okresy;

nakoniec jeżeli ja przyjmując to zapatrywanie, w r. 1868 w przedmowie do mojej książki wyraźnie powiedziałem, że podział ten u nas jest zasługą badań p. dra A. Małeckiego; — i skoro także wyraźnie powiedziałem, iż ów podział przyjmuję jako znany już w głównych zasadach szerszemu kołu społeczeństwa naszego z wydrukowanej w „Dzienniku literackim" rozprawy o „kursie literatury" dra Nehringa;

jeżeli zatem to wszystko bezstronny sędzia na uwagę wziąć zechce, pytam się, czy będzie mógł z czystem sumieniem obwinić mnie o to, że cały system i podział na epoki i okresy zabrałem rozmyślnie panu dr. A. Małeckiemu i ogłosiłem podstępnie jako owoc własnych poszukiwań!

Drugi zarzut rzekomego plagiatu upatrywać muszę w zdaniu autora artykułu „O sumienności autorskiej", jakoby „Zarys" mój był tylko skróconem wydaniem spisanych przemnie prelekcyj p. dra A. Małeckiego. W przedmowie do mojej książki powiedziałem, że skorzystawszy ze wszelkich wówczas mi dostępnych monografij i opracowań, nie przypisuję sobie w szczegółach żadnej oryginalności, przyznając owszem wszystkim te zasługi, które w pracach swych położyli. Nie wymieniłem wtedy poszczególnie tych źródeł, z których korzystałem, nie chcąc rozszerzać przedmowy długim szeregiem cytacyj. Krytykom mego „Zarysu" wystarczało dotąd to ogólne oświadczenie. Dziś gdy takowe wobec zarzutu „Tygodnia" nie wystarcza, wymieniam poniżej szczegółowo te dzieła, prace i rozprawy, z których czerpałem wiadomości przy układaniu mojej książki.

Przedewszystkiem miałem pod ręką dawniejsze i nowsze dzieła, tyczące się całokształtu dziejów naszego piśmiennictwa, mianowicie zaś historje literatury: Bentkowskiego, Wiszniewskiego, Maciejowskiego, Wojcickiego, L. Łukaszewicza (w kilku wydaniach), Majorkiewicza, Kondratowicza, J. Poplińskiego, Bartoszewicza, Nehringa, Lewestama, Wasilewskiej, Rycharskiego, a w końcu także L. Rogalskiego.

Miałem prócz tego pod ręką ciągle Encyklopedję powszechną Orgelbranda i korzystałem ze wszystkich artykułów tamże umieszczonych a tyczących się historji literatury naszej; mianowicie zaś zaczerpnąłem wiele cennych wiadomości z uczonych rozpraw F. M. Sobieszczańskiego, Jul. Bartoszewicza, H. Estrejchera, K. Wł. Wojcickiego, F. U. Lewestama, J. Przyborowskiego, O. Kolberga i J. K. Plebańskiego.

Powiedziałem w przedmowie do mojego „Zarysu", że cokolwiek tylko z monografij i opracowań dostępne mi było, nie uszło środ układania książki mojej baczności. Tyczy się to nietylko wielu rozpraw zamieszczonych w powołanej Encyklopedji Orgelbranda, z których nie jedna podaje wiadomości widocznie ze źródeł zaczerpnięte, ale także i przedewszystkiem tych prac i rozpraw, które bądź osobno drukiem ogłoszone, bądź też po czasopismach lub w zbiorowych edycjach dzieł różnych pisarzów umieszczone zostały. (D. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Biblioteka ordynacji Krasińskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. Tom pierwszy. Warszawa 1875.

W przedmowie czytamy: „Spadkobiercy majątku śp. Konstantego Świdzińskiego, w chwili przyłączenia zbiorów naukowych swego brata do biblioteki ordynacji hr. Krasińskich, powodowani szlachetną chęcią upamiętnienia jego działalności naukowej i zasług na tem polu położonych, zabezpieczyli fundusz wieczysty na wydawnictwo materjałów historycznych pod nazwą: „Muzeum Konstantego Świdzińskiego." Tym sposobem przyszło to wydawnictwo do skutku. Redakcja obiecuje wydawać co roku jeden tom. W pierwszym zamieszczone są następujące materjały, dotąd nigdzie jeszcze nie wydane: 1) Wiadomość o rękopismach z archiwum Radziwiłłowskiego. 2) Korespondencje Jana Karola Chodkiewicza, z rękopismu, przepisanego z autografów archiwum Sapieżyńskiego, staraniem Konstantego Świdzińskiego. W tym zbiorze są zawarte: *a*) listy wielkiego hetmana pisane od 1606 do 1611 roku do żony i do syna, *b*) listy hetmanowej Zofji Chodkiewiczowej do syna Hieronima; *c*) Hieronima Chodkiewicza kasztelana Wileńskiego do synowca Jana Karola; *a*) Aleksandra wojewody Trockiego do brata Jana Karola Chodkiewicza. — Z tych korespondencji niektóre tylko listy hetmana do żony są nam w wyjątkach znane. Umieszczane one były przez K. Wł. Wojckiego w „Tygodniku Ilustrowanym" i znalazły pomieszczenie w szkicach historycznych tego autora.

— Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, muzyka i tańce; przedstawił Oskar Kolberg, członek kor. Akademji umiejętności w Krakowie, oraz towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu i muzycznego we Lwowie. Serja VIII, z rycinami i drzeworytami wedle rysunku W. Gersona, Tadeusza Konopki i fotografji Rzewuskiego. Krakowskie. Część czwarta: Powieści, przysłowia i język; wydana z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego pod zarządem akademji umiejętności w Krakowie. Kraków, w drukarni Gumplowicza. 1875.

Powieści i podania każdego ludu stanowią niejako nić, łączącą zamierzchłą przeszłość z teraźniejszością. Dla badacza pierwotnych dziejów któregokolwiek narodu stanowią one najobfitsze źródło do odtworzenia początków cywilizacyjnych. — Jak nasz lud pod tym względem jest bogatym, dość wspomnieć, że sam Oskar Kolberg podał z bliskich okolic Krakowa takich powieści stopięćdziesiąt. W przysłowiach i zdaniach zawarta jest cała mądrość i filozofja tego ludu. Jak one powstają, powszechnie jest wiadomem. Dr. Kolberg podzielił swe dzieło na powieści, zagadki, przysłowia i zdania, osobny rozdział poświęcił językowi, do którego dodał słowniczek mało używanych wyrazów, przezwisk i nazw rodowych włościan z 87 wsi.

Francuska.

— Chateau Gaillard par Claude Vignon vol. in 18. chez Michel Levy — 1875.

Bohater tego romansu jest typem słynnym w świecie paryskim, przed laty kilku. Uwodziciel to przebiegły i czarujący, umysłu giętkiego i skeptycznego, oburzający cynik, coś naksztalt Feuilet'owskiego p. de Camors. Nowy ten don Jouan, który się tutaj nazywa Chateau Gaillard, nie obawia się nawet widma komandora; niepowstrzymany niczem idzie naprzód, łamiąc i druzgocąc wszystko co mu staje na drodze do wytkniętego celu. Dla niego nie istnieją krewni ani dobroczyńcy, nie masz obowiązków przyjaźni ani wdzięczności, samolubstwo jedynem dla niego prawem. Miłość nawet, jedyna prawdziwa, która nim w życiu owłada, jest tylko walką z istotą bardziej niż on zepsutą. Z tej walki wychodzi zwyciężonym i złamanym, jednak ta kara nawet, jakkolwiek srogą, nie uspokaja rozdrażnienia, jakie w czytelniku wzbudziło oburzające i tak długie powodzenie tego rozbójnika salonów. Typy zacne w tym romansie są najczęściej zatarte; złe rozsiała się w nim najswobodniej, a cnota choruje na brak energji, tak, że po przeczytaniu tych stronnic, jakkolwiek pełnych talentu, opanowuje czytelnika pewien rodzaj tęsknicy do rzeczy i ludzi poczciwych.

Niemiecka.

— Diätetik der Seele, von H. Klencke. Zweite neu durchgearbeitete und vermehrte Auflage des Buches: „Die menschlichen Leidenschaften" Leipzig 1875.

W dyetetyce duszy zajmuje się autor najwznioślejszemi pytaniami. Zapoznaje nas z istotą i siłą ducha, z uczuciami i namiętnościami tak w stanie zdrowia jak w stanie chorobliwym duszy ludzkiej, w ogólności zaś przedstawia duchową stronę człowieka odnośnie do niego samego i do otaczającego go świata; — następnie podaje środki do osiągnięcia równowagi duchowej, tak zwanego spokoju duszy, będącego najwyższym stopniem szczęśliwości ludzkiej. Autor naprowadza nas także na sposoby poznawania samego siebie, aby człowiek mógł zrozumie własne uczucia, motywa swoich uczynków, wyobrażenia i namiętności, poczem nierównie już łatwiej ocenić drugich. — Książka ta zaleca się nader popularnym wykładem i stylem pociągającym, czytamy ją przeto bardzo przyjemnie, a zawarte w niej nauki i przykłady są prawdziwemi ziarnami złota, mogącemi dać spokój duszy.

— Die Tropenwelt von Dr. Georg Hartwig. Zweite Auflage. Wiesbaden, 1875.

Żadna strefa nie posiada tak wielkiego bogactwa pod względem fauny i flory, jak strefa gorąca; — w żadnej nie zamieszkało tyle i tak rozmaitych szczepów ludzkich jak w gorącej. Rozmaitość tę pod względem życia zwierząt, roślin i wielką rozmaitość szczepów ludzkich tamże zamieszkałych, przedstawia nam tu Dr. Hartwing w bardzo przystępnych szkicach. Dla lubowników przyrodoznawstwa podajemy tu spis innych dzieł tego autora: „Das Leben des Luftmeeres", „Der hohe Norden", „Gott in der Natur", „Die Inseln des grossen Oceans", „Die Unterwelt". Wszystkie te dzieła odznaczają się nader popularnym wykładem, stoją przytem na wysokości dzisiejszej nauki, a liczne ilustracje, niektóre nawet kolorowane, ułatwiają zrozumienie samego przedmiotu.

— Diätetische Kosmetik oder Gesundheits- und Schönheitslehre der äusseren Erscheinung des Menschen. Eine Volksschrift von Herman Klencke 2. Aufl. Leipzig, 1875.

Powyższą pracę uważać można za ostateczne wyniki badań w tym przedmiocie. W niej podaje autor naprzód definicję piękna w ogólności i odnośnie do zdrowia a potem historyczny szkic toalety i kosmetyki; — a więc obraz starań ludzkich, dążących za pomocą sztucznych sposobów do okazania się pięknym. Przykładami zaczerpniętemi z życia wszystkich niemal narodów, autor udowadnia, że te narody które nie miały ani należycie wykształconych pojęć o sztuce, ani w ogóle estetycznego smaku, najwięcej starały się o fałszywą piękność za pomocą środków. Dopiero, gdy zapanowały prawdziwe wyobrażenia o pięknie w ogólności, a w szczególności o piękności ludzkiej, można było mówić o jej utrzymaniu i pielęgnowaniu. Autor zapatrując się na człowieka, jako istotę żyjącą i rozumem obdarzoną, wynurza przekonanie, że powinien on dbać o piękną formę zewnętrzną, przyczem mówi o prawdziwych i fałszywych środkach toaletowych. Dzieło powyższe nie jest przeto książką zajmującą się wyłącznie tajemnicami toaletowemi, chociaż eleganci znajdą w niem wiele wskazówek dla siebie, zwłaszcza gdy na końcu autor umieścił obszerny spis dziś używanych preparatów toaletowych ułożony z wielką dokładnością i uznania godną znajomością rzeczy.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Dowiadujemy się, że katedra geografji na uniwersytecie Lwowskim, nikomu jeszcze nie została powierzoną. Uniwersytet postanowił tymczasem rozpisać na tę posadę konkurs z terminem całorocznym, aby kandydaci mieli czas zgłosić się i wykazać odpowiedniemi pracami. Zdaniem naszem uniwersytet nie mógł sobie lepiej postąpić. Dzięki tej bezstronności, katedrę otrzyma najzdolniejszy geograf—a nie pierwszy lepszy kandydat protegowany, czego szczerze pragniemy.

— Wydział Tow. przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie prosi wszystkich swoich ajentów, aby się zajęli zbieraniem składek na zakupno „Unji“ Matejki, i pieniądze przysyłali na ręce prezesa Towarzystwa, hr. Leszka Dunina Borkowskiego.

— Jutro, w poniedziałek odbędzie się w sali ratuszowej koncert wokalno-instrumentalny, ociemniałego artysty skrzypka i tenora, Józefa Karesza, wracającego z Paryża, przy współudziale p. Mikulego i panny Deryng. Nie wątpimy, że publiczność tego wieczora licznie się zgromadzi. Biletów można dostać w księgarni Seifartha i Czajkowskiego.

— Stowarzyszenie pracy kobiet we Lwowie otwiera z d. 1. kwietnia rb. naukę szewstwa. Towarzystwo zakłada także bibljoteczkę i w tym celu uprasza wszystkich księgarzy i nakładców, aby według sił przyczynili się do urzeczywistnienia tego projektu.

Literatura i sztuka.

— Czytamy w warszawskim „Przeglądzie Tygodniowym“: „Znakomity nasz artysta dramatyczny p. Jan Królikowski. pracuje już oddawna nad dziełem: „O zadaniu artysty dramatycznego.“ Będzie to drogocenny zbiór uwag i spostrzeżeń, długoletnią pracą i doświadczeniem zdobytych. Nikt może z pracowników sceny nie przeszedł tak potężnej walki, nie napotykał tylu trudności na drodze wiodącej do sławy, jak p. K. W mozolnym tym pochodzie, ileż prawd zdobyć, jaką potężną skarbnicą doświadczenia zbogacić się on musiał. Młodsi towarzysze znajdą w pracy mistrza drogocenne wskazówki na drodze swej działalności. Oczekujemy więc z niecierpliwością pojawienia się tak pożytecznej książki.“

— „Wiek“ warszawski donosi, że znany literat tamtejszy Lubowski, napisał nową i wcale udatną komedję, pt. „Gonitwy“.

— O sławnym rzeźbiarzu Thorwaldsenie, o jego życiu i dziełach pojawiła się niedawno w drugiem już wydaniu wybornie napisana książka Eugenjusza Plona pt. „Thorwaldsen, sa vie et ses oeuvres“. Jak wiadomo Thorwaldsen kilka swych arcydzieł wykonał na zamówienia polskie, a mianowicie statuę Kopernika, odsłoniętą w Warszawie w r. 1830, pomnik dla Potockiego, znajdujący się w katedrze krakowskiej i statuę konną księcia Poniatowskiego. Ostatni pomnik wykonał Thorwaldsen na zamówienie osobnego komitetu, na którego czele stał hr. Mokronowski. Autor wspomnianej biografji przytacza kilka ciekawych szczegółów o tym pomniku. Zamówiono go jeszcze w r. 1817, ale artysta zwlekał bez końca, tak że w r. 1825 musiano go upomnieć w bardzo pochlebnym ale energicznym liście, z którego biograf przytacza wyjątki, „En vous choisissant pour perpetuer la gloire de Copernic et de Poniatowski, c'est la nation entière, qui vous a designé, comme l'artiste le plus celébre et le plus digne.... Une ame aussi noble, aussi élevée, pourrait-elle etre insensible à ce choix?...“ — pisano do niego, prosząc o przyspieszenie roboty. W dwa lata po tym liście pomnik był już gotowy a wysłany na Gdańsk przybył do Warszawy w r. 1828. Thorwaldsen zamierzał z początku przedstawić Poniatowskiego w stroju narodowym i uchwycić postać jego w chwili, kiedy rzuca się z koniem w rzekę, w której śmierć go czekała. Wykonał nawet ten pomysł w pierwszych medalach. Nie wiadomo z jakich przyczyn artysta odstąpił od pierwotnego planu i wykonał posąg zupełnie inaczej, dając księciu strój starożytny rzymski. Posąg ten wylany z bronzu, nigdy nie został ustawionym. Jakież były jego losy? Eugenjusz Plon nie podaje żadnych pewnych szczegółów, powtarza wersje rozpowszechnione. Według jednych posąg ten przelano na działa, według innych ukryto go w arsenale modlińskim, gdzie się miał znajdować jeszcze w r. 1842. Niemieckie pismo „Kunstblatt“ donosiło w r. 1842, że posąg przewieziony został do Rossji, i że tam go przetopiono, inne pismo, angielskie „Athenäum“ twierdziło w r. 1850, że książę Paszkiewicz kazał przerobić posąg na statuę św. Jerzego i ustawił go w dobrach swoich w Mohylewie.

— Czytamy w warszawskim „Przeglądzie tygodniowym“: „W Petersburgu jeszcze w roku 1870, założoną została wystawa ruchoma sztuk pięknych, przeważnie obrazów — sama jej nazwa dowodzi jasno jej celów i znaczenia, zawierających się w tem, iż wystawa rozpoczęta na miejscu, następnie objeżdża znaczniejszo miasta Rossji, jako to: Moskwę, Odesę, Kijów, Rygę, Charków itp. Owoż teraz gazeta „Ruski Mir,“ z powodu rozpoczęcia czwartej podobnej wystawy, podaje szczegółowe rachunki z dwóch poprzednich wystaw. Bilansu całego z powodu rozciągłości nie powtarzając, powiemy tylko o świetnym rezultacie, iż dochody za bilety wejścia znacznie przewyższają koszta przewózki. Nadto w rozmaitych miejscowościach sprzedano obrazów za sumę przeszło 22.000 rubli—widoczna korzyść dla artystów. Pytamy tedy czyli i u nas nie dałoby się coś podobnego urządzić? Wszakże miastom naszym prowincjonalnym starczy na wyżywienie menażerji, psów śpiewających itp. wydrwigroszów? Idzie więc tylko o skierowanie smaku publiczności na poważną drogę. Rzucamy tę myśl, a daj Boże w dobry czas, tak Towarzystwu zachęty sztuk pięknych, jak i samym artystom.“

— Na wystawie Akademji Sztuk pięknych w Monachium, nagrodzeni zostali d. 17. marca rb: W nauce rysunkowej z natury p. Stenzel, medal bronzowy; w szkole malowania medale srebrne pp. Piątkowski i Alchimowicz; wzmianką pochwalną pp. Szwojnicki i W. Kossak (syn.)

— Dnia 20. kwietnia zostanie otwarta w Londynie w Royal Albert Hall międzynarodowa wystawa Sztuk pięknych. Obejmie ona malowidła, rzeźby, miedzioryty i fotografje artystów wszystkich krajów.

— W Stockholmie stanie w tym roku gmach dla Akademji muzycznej. Kamień węgielny położono d. 4. marca w przytomności króla.

— D. 22. marca rb. nastąpiło we Wenecji odsłonięcie pomnika spiżowego Daniela Maina, byłego dyktatora Wenecji.

Podróże i komunikacje.

— Wyprawa naukowa niemiecka, pod przewodnictwem profesorów Brugsch'a i Luttge'go, zdołała dotrzeć do wielkiej oazy w Egipcie Zachodnim. Karawana składała się z 40tu wielbłądów, prowadzonych przez tyluż ludzi z pokolenia Beni-Vassal, pod dowództwem samego Szaika. Po cztero i pół dniowym pochodzie przez pustynię libijską, wyprawa stanęła ua głównej stacji Elkhargeh. Tam wznoszą się ruiny, sięgające czasów faraonów i ostatniego zaboru rzymskiego. Dr. Brugsch jest pierwszym egiptologiem, który widział i zbadał te ciekawe szczątki panowania nubijskiego i rzymskiego. Należy się więc spodziewać, że studja nad temi dotąd nieznanemi ruinami rzucą nowe światło na dzieje starożytnego Egiptu. Jakoż miano tam zebrać niemałą liczbę napisów, a dwaj uczeni egiptologowie, za powrotem swoim do Europy, ogłoszą zapewne rezultaty zajmującej ze wszechmiar swojej wyprawy.

— Na dorocznem posiedzeniu Towarzystwa mineralogicznego w Petersburgu, otrzymały premjum rozprawy czytane tamże: p. Rogowicza „O rybach kopalnych formacji trzeciorzędnej w bassenie kijowskim,“ i p. Benedykta Dybowskiego, słynnego naturalisty i podróżnika: „Studja paleontologiczne.“ Pan Dybowski bawi obecnie nad Bajkałem i bada pod względem przyrodniczym okolice Bajkału, kraju Amurskiego i całej południowej Syberji.

— Dnia 23. marca odbyła się w Paryżu nowa próba podróży balonowej. Pięć osób wzięło w niej udział. Balon obejmował 3.000 metrów sześciennych gazu. Podróż trwała 23 godzin; areonauci osiedli na pastwisku pod Arcachon. Doświadczenia z kwasem węglowym powiodły się wybornie Udały się także obserwacje ze spektroskopem i elektryczne.

— Dnia 6. marca stanęła pierwsza lokomotywa na wyżynie Uetilberg, koło Zurychu. Nową tą koleją rozwiązano szczęśliwie pytanie, czy lokomotywa może bezpiecznie posuwać się w górę po takiej pochyłości, której spad wynosi 7 procent, (na 100 sążni 7 sąż.) Próba powiodła się jak najlepiej.

— Bardzo silne trzęsienie ziemi czuć się dało w nocy z 17. na 18. marca w górnych Włoszech, mianowicie w miastach Rimini, Ancona, Urbino i Camerino.

Statystyka.

— Na posiedzeniu towarzystwa statystycznego w Londynie, w ubiegłym tygodniu, Darwin miał odczyt o związkach małżeńskich między bliskimi krewnymi. Szkodliwość podobnych związków dawno już naukowo stwierdzoną została, ale Darwin poparł swoje wywody datami statystycznemi. I tak statystyka wykazuje, że połowa obłąkanych i idjotów w szpitalach angielskich pochodzi z rodziców, którzy weszli z sobą w związek małżeński, będąc bliskimi krewnymi. Liczba tych nieszczęśliwych w Anglji i Walji wynosi 4,308 na 8,170 obłąkanych, w Szkocji zaś 514 na 1,179.

Gospodarstwo.

— Na jak wielką skalę uprawiane jest sadownictwo w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, przekonywamy się z niedawno wydanego urzędowego wykazu, według którego w samym stanie Illinois przestrzeń ziemi zajęta pod sady w r. 1873 wynosiła 334,067 morgów. W całej Anglji, przestrzeń zajęta pod sady wynosi 150,526 morgów, a zatem niespełna połowę tego, co w jednym stanie północno-amerykańskim.

Nekrologja.

— January Suchodolski, znany malarz polski, umarł w dobrach swoich w Boimiu d. 20. marca rb. Urodzony w r. 1796 w Grodnie, służył w młodości wojskowo, a później kształcił się na artystę w pracowni Horacego Verneta w Rzymie. Jako malarz historyczny, Suchodolski nie wzniósł się ponad mierność, za to dobrze malował konie, bez których żadna jego kompozycja obejść się nie mogła. Razem zostawił do 500 obrazów.

— Edgard Quinet, jeden z najpierwszych myślicieli i pisarzy francuskich, przyjaciel Adama Mickiewicza i talentu jego wielbiciel, umarł we Francji d. 28. lutego rb. w 72 roku życia. Do celniejszych jego dzieł należą: „De la Grece moderne et de ses rapport avec l'antiquité; Hist. de Florence, de la Roumanie, de la Pologne, Alemagne et Italie, la Revolution, l'Esprit nouveau itd.“ Pogrzeb odbył się z wielką okazałością. Na grobie przemawiali Gambetta i Wiktor Hugo, sławiąc republikański charakter nieboszczyka. za co im publiczność zrobiła owację.

— Amedeusz Achard, znany powieściopisarz francuski, umarł w Paryżu d. 24. marca. Do celniejszych należą jego powieści: „Duc de Carlepont“, „Belle Rose“, „Marcelle“, „Maurice de Treuil“ i inne.

ROZMAITOSCI.

— Znaleźliśmy kilka ciekawych szczegółów o teatrze chińskim, któremi dzielimy się z naszymi czytelnikami: W wielu większych miastach pobudowane są porządne teatra, w których oprócz sceny nie brakuje lóż, balkonów i parteru. Zamożniejsi Chińczycy często we własnych domach wyprawiają widowiska teatralne. Na wędrownych trupach aktorów nie zbywa tam wcale; wiodą one z sobą wszystkie potrzebne im w tym względzie rekwizyta i za pieniądze, wynoszące na naszą stopę 10 talarów, można ich nająć do grania na cały wieczór. Bogaty ich repertoar składa się najwięcej z historycznych dramatów, gdzie mnóstwo pojedyńczych utarczek a nawet całych batalji pomiędzy rozmaitemi do tronu pretendentami; lecz także komedji i innych tego rodzaju wesołych i dowcipnych sztuk nie braknie im wcale. Już sławny Łazarzysta Huc, który długie lata pomiędzy Chińczykami przepędził i dokładnie obyczaje ich opisał, utrzymuje, iż nie ma na całym świecie ludu, któryby namiętniej od nich lubował się w widowiskach teatral-

nych. W ich duchu i ciele jest taka ruchliwość i elastyczność, że z nadzwyczajną łatwością wszelkie formy i najrozmaitsze odcienia ludzkich uczuć przybierać mogą. Można powiedzieć, iż jest w nich coś małpiego. Państwo Niebieskie przedstawia bezustannie obraz olbrzymiego jarmarku, na którym mrowie handlarzy, tandeciarzy, próżniaków, błaznów, kuglarzy, komedjantów, łotrów, złodziei w gorączkowym ruchu kręci się na wszystkie strony. W wielkich miastach przedstawienia teatralne dniem i nocą bezustannie się odbywają. Dekoracji w czasie widowiska nie zmieniają nigdy; aktorowie sami objaśniają publiczność, gdzie się sztuka odbywa, ułatwiając jej tym sposobem zorjentowanie się. Na przodzie sceny znajduje się zwykle zapadnięcie, z którego niby z pod ziemi wychodzą postacie czarodziejskie jako to: bogowie, aniołowie, bohaterowie itp., dla tego też zapadnięcie to nazywają bramą demonów. Karawany aktorów podróżujących z miejsca do miejsca, i najmujących się na przedstawienia, przypominają nieco owe bandy cyganów, włóczące się po naszych europejskich krajach; najczęściej wybierają do tego podróż wodną, rzekami lub kanałami, gdyż łatwiej i taniej im to wypada. Teatr musi być wszędzie i dla tysiącznych powodów grywany: jeżeli mandaryn otrzyma wyższą rangę, jeżeli żniwa szczęśliwie się odbyły, jeżeli jaki kupiec zrobił dobry i korzystny interes, jeżeli ktoś uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa, jeżeli posucha albo deszcze przeszły, nie wyrządziwszy ludziom szkody itp. — wszystko to jest powodem do uraczania się widowiskami teatralnemi. Przy ostatecznej ugodzie jakiego ważniejszego handlowego interesu, strona sprzedająca lub nabywająca zobowiązuje się zwykle kontraktem, tyle a tyle swoim kosztem urządzić scenicznych przedstawień. Nawet w sporach i procesach pomiędzy ludźmi prywatnymi sędziowie często wydają wyroki, iż strona, której wina stanowczo dowiedzioną została, skazaną bywa na wyprawienie swoim kosztem pewnej liczby widowisk teatralnych. Djalogi w sztukach dramatycznych chińskich są zazwyczaj pisywane w połowie wierszami. W komedjach i innych pomniejszych farsach muszą być koniecznie piosnki, obfitujące w przenośnie i kalembury. Jednakże odwieczny zwyczaj chiński wymaga, ażeby każda sztuka, tragedja, dramat czy komedja, ułożona była w celu moralnym. Pan Bazin w dziele swojem pod tytułem: Théâtre chinois, powiada, iż tryumf cnoty nad złem jest zawsze treścią każdej sztuki teatralnej; gdyby w niej nie było tendencji zdążającej do morału, nie miałaby w oczach Chińczyka żadnej wartości. Według autorów chińskich przedmiotem dramatu powinno być przedstawienie najwznioślejszych wypadków historycznych, mogących stanowić naukę dla ludzi nie umiejących czytać; nawet kodeks karny chiński czuwa surowo nad tem, aby pisarze dramatyczni wybierali takie tylko przedmioty do dzieł swoich, z których widzowie mogliby brać przykład i zachętę do czynów poczciwych i cnotliwych. Wykroczenie przeciwko przyzwoitości lub skromności obyczajów na scenie uważanem jest w Chinach powszechnie za zbrodnię. „Ten, co napisze sztukę nieobyczajną, mówi jeden z chińskich autorów cytowany przez Morissona, ulegnie w dniach ofiar mingfon surowej karze, a kara dopóty trwać musi, dopóki ta sprośna sztuka na świecie istnieć będzie“. Tym sposobem teatr chiński, wspierając się jedynie na teorji moralnej, podniesionej do wysokiego stopnia, góruje nad wszystkiemi teatrami starożytnemi a nawet nad współczesnemi europejskiemi.

— O niezwykłym napadzie zbójeckim, który w tych dniach wydarzył się na Litwie, w pow. Białostockim pisze Kur. Warsz. co następuje: „W okolicy miasta Goniądza niedaleko granicy Królestwa, mieszka w lasach w pobliżu osady Dobarz były strażnik miejscowych lasów rządowych, nazwiskiem Chwietko, człowiek zapaśny w grosze. Zdarzyło się, że Chwietko wyjechał na parę dni do Białegostoku, zostawiwszy w domu żonę, owdowiałą córkę, nazwiskiem Zaleską, i krewnego, dymisjowanego żołnierza, którego zaproszono na ten czas dla bezpieczeństwa. Około północy w izbie, w której nikt nie nocował, dał się słyszeć łoskot wydobywanego gwałtem okna. Mieszkańcy domu przebudzili się, zapalono światło, a na jego widok rabuś cofnął się, ale w tejże chwili kobiety ujrzały z przerażeniem na białem tle śniegu po dwóch ludzi przy każdem oknie. Wszyscy uzbrojeni byli w pałki, a raczej w koły z płotów, i widocznie otoczyli dom do koła, ażeby podczas rabunku nikt nie wymknął się z leśniczówki. Żołnierz pochwycił za topór, a kobiety uzbroił w zębate ości rybackie. O obronie całego domu nie można było myśleć, zamknięto się więc w izbie i alkierzu, pozostawiając złoczyńcom swobodny przystęp do reszty mieszkania. Dostali się też oni niebawem do izb opróżnionych, poczem rozpoczął się szturm kilkunastu opryszków i rozpaczliwa obrona trojga ludzi. Mieszkańcy domu między napastnikami rozróżnili dwóch starozakonych, dalej poznali niektórych włościan ze wsi Szorce i Nowawieś, tudzież poddanego pruskiego, bawiącego w tej okolicy za pruskim paszportem. Żydzi zdawali się kierowac napadem. Przez wyłamane okna zaczęto ciskać na żołnierza i kobiety cegłami z pieca rozebranego w tym celu, na drugiej połowie domu, starano się przytem ugodzić ich długiemi żerdziami. Ale przystęp nie był łatwy, bo kobiety, a zwłaszcza mężna Zaleska, poraniły ością aż ośmiu napastników. Tymczasem drzwi zostały wyrąbane z zawiasami, a tłoczący się w nie otrzymał od żołnierza tak silne cięcie toporem w rękę, że prawdopodobnie postradał ją na zawsze. Odnieśli go rabusie na drugą stronę, gdzie znalezioną watą usiłowali krzyczącemu w niebogłosy z wielkiego bólu krew zatamować. Dłuższa jednak obrona w izbie była niepodobna, tem bardziej, że żołnierz był raniony w głowę cegłą. Cofnięto się więc do alkierza i zaryglowano drzwi za sobą. Rabusie, dopełniwszy, przeglądu zdobytej izby, w której znaleźli tysiąc kilkaset rubli, rozpoczęli szturm do alkierza. Szczęściem, że drzwi i zasuwy były mocne, a okno w alkierzu jedno tylko i to bardzo maleńkie, nadzieja zaś znalezienia nowych skarbów mała, a zbliżający się brzask dzienny niebezpieczny dla rabusiów. Temu to zbiegowi okoliczności oblężeni zawdzięczają swoje ocalenie i wyjście jako tako z bezprzykładnej kilkogodzinnej walki. Napastnicy za ukazaniem się dnia uciekli, ale jak już wspomnieliśmy, wszyscy prawie byli znani mieszkańcom domu oblężonego, łatwo więc ślad ich pochwycono. Obecnie rabusie siedzą już w więzieniu; ale tylko włościanie, bo starozakonni znikli bez wieści, jak to zwykle bywa w takich razach. Wypadek powyższy uważać należy jako jedno z następstw uorganizowania się od lat kilkunastu w tych stronach, a mianowicie w miasteczkach Jedwabno, Trzcianne i Sokoły złodziei końskich“.

— W r. 1788 opera Mozarta „Belmonte i Constanza, czyli wykradzenie z Seraju“ dostała się po raz pierwszy na repertoarz teatru berlińskiego. Pod tę porę właśnie Mozart wybrał się po raz drugi i ostatni w odwiedziny do pruskiej stolicy. Przybył już nad samym wieczorem i natychmiast po zajechaniu do hotelu dowiedział się, że jego operę przedstawiają. Nie tracąc więc nawet czasu na przebranie się, pospieszył w stroju podróżnym do teatru, kiedy przedstawienie było już w pełnym biegu. Wszedłszy na parter pozostał tam, pragnąc niepoznany i w skupieniu przysłuchać się wykonaniu ukochanego swego dzieła. — Pierwszorzędni artyści rozebrali pomiędzy siebie partje i wywiązywali się świetnie ze swego zadania — czego najlepszym dowodem była pełna pjetyzmu uwaga publiczności, kiedy niekiedy przerywana lekkim szmerem zadowolenia. Przysłuchujący się w ukryciu Mozart, cieszy się wraz z innymi intelligencją i precyzją śpiewaków i śpiewaczek, — drażnią go tylko zbytek fiorytur i niewłaściwe tempo. Coraz żywiej zajęty, machinalnie przeciska się przez gęsto nabity parter, ku orkiestrze, mrucząc przytem coś niewyraźnie, tak, że najbliżsi słuchacze nie domyślający się potężnego genjusza w tym małym, niepozornym, nieznajomym człowieczku, poczynają jedni żalić się na jego natręctwo, inni wskazują go sobie palcami ze śmiechem. Ale Mozart nie spostrzega tego bynajmniej, zatopiony w przysłuchiwaniu się swemu pięknemu dziełu. Wreszcie poczyna „Pedrillo“ ochoczą arję: „Nuż do walki! nuż w zapasy!“ W tem miejscu, czy kapelmistrz błędną miał partyturę przed sobą, czy też chciał oryginał „poprawić“ jak się często zdarza, dosyć, że drugim skrzypcom Dis zamiast D dano. Tego nagle rozjątrzony kompozytor znieść już nie mógł. Rzuca się więc ku orkiestrze z okrzykiem: „Przeklęte błazny! Nie weźmiecież wy mi D.... Niech was jasne pioruny zatrzasną!“.. Okrzyk ten budzi powszechną uwagę. Członkowie orkiestry spoglądają na siebie w osłupieniu, — wreszcie niektórzy z nich poznają sławnego mistrza. Wówczas jak błyskawica przebiega po orkiestrze i teatrze wieść.... „To Mozart!... Mozart jest tutaj!“ Na ten odgłos, śpiewaczka, pani Baronius, nader delikatna i nerwowa osoba, wykonywająca właśnie jedną z głównych partyj na scenie, ze wzruszenia i przestrachu mdleje. Zamęt się wszczyna niesłychany. Spuszczają zasłonę. Mozart dowiedziawszy się od kapelmistrza o tym wypadku, pędzi za kulisy, gdzie właśnie tysiącem soli i octów artystkę do przytomności przywieść się starają; — kompozytor staje za nią i szepce: „Co Pani wyrabiasz, dla Boga! Śpiewałaś pysznie, znakomicie, — ażebyś na przyszłość jeszcze lepiej partję swoją wykonywała, ja sam pomogę ci ją wystudjować“. Artystka słysząc te pochlebne słowa z ust boskiego mistrza, powróciła do sił i przytomości i przedstawienie poszło dalej, w pośród frenetycznego uniesienia publiczności.

— Paryzki „Figaro“ opowiada, że na pierwszem przedstawieniu w teatrze Porte Saint Martin, słynnej „Podróży na około świata w 80 dniach“ Verne'a, Francuz pewien założył się z Anglikiem, iż sztuka ta przyniesie teatrowi do końca marca miljon franków dochodu. Strona przegrywająca zakład, obowiązała się ponieść koszta wspólnej wycieczki na około świata, ale rzeczywistej. Otóż już w dzień 11-ty marca dochód ze 128 przedstawień wspomnianej sztuki przekroczył ów miljon franków i Anglik przegrał zakład. W tydzień później obadwaj uczestnicy zakładu puścili się istotnie w podróż na około świata na koszt Anglika, który jest miljonowym panem. Podróż ta rozumie się dłużej nieco potrwa, niż w sztuce. — W dzień zaś powrotu podróżników do Paryża, udadzą się oni do teatru Porte-Saint-Martin na przedstawienie owej szuki, z góry już zamówione, po którem huczny bankiet dla przyjaciół godnie zakończy awanturkę. Ciekawa rzecz, jakim bankietem „Figaro“ uraczony został przez dyrekcję teatru Porte-Saint-Martin za tę reklamę?

— Na gościnne występy w teatrze „Karola“ we Wiedniu, ma przyjechać wkrótce zaproszony albo raczej sprowadzony przez dyrektora Jannera z pewnego cyrku londyńskiego artysta niepospolity, bo słoń afrykański. Ma być bowiem wystawiony w owym teatrze uscenizowany Romans Juljusza Vernea „Podróż na około świata w 80 dniach“ i do tej to sztuki wprowadzony będzie poważny zwierz podzwrotnikowy. Dyrektor Janner podjął się przewieźć go z Londynu do Wiednia na własny koszt i za wynagrodzeniem złr. 6000. Nie wiele jest artystów genus „homo“ którymby tak dobrze płacono za występy gościnne.

— Opat Ferdynand Galiani, znakomity badacz przyrody i archeolog, zebrawszy w Neapolu cenną kolekcję kamieni i materji wulkanicznych pochodzących z Wezuwiusza, oraz napisawszy świetną o tym przedmiocie rozprawę, zbiór swój i rozprawę ofiarował w darze dobremu i szlachetnemu Papieżowi Benedyktowi XIV. Cała kolekcja złożoną była w siedmiu skrzyniach — na pierwszej z nich Galiani własnoręcznie napisał te słowa „Beatissime pater, fac ut isti lapides panes fiant. (Ojcze święty, spraw iżby te kamienie chlebem się stały!) Papież zrozumiał tę dowcipną przymówkę i dokonał żądanego odeń cudu w najprostszy sposób, a mianowicie obdarzywszy uczonego kanonją w Amalfi i dochodem tysiąca dukatów rocznie.

Odpowiedzi Redakcji.

Bl. Fr. we Wiedniu. Z przysłanych nam prac korzystać nie możemy. Nastosowniejsze pomieszczenie byłoby dla nich w fejletonie dziennika politycznego. Manuskrypt będzie na żądanie zwrócony.

Ch. w Paryżu. Po raz drugi wysłaliśmy numer reklamowany. Czy mamy posyłać nadal pod dawnym, czy pod nowym adresem?

Treść Nr. 14.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).